Nr. 36. Lwów, Niedziela dnia 13. Maja 1877 r. **Tom V.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Fałszywa jedność.

W narodzie mającym byt niezawisły i rozwinięte życie polityczne, byłoby zbytecznem dowodzić, jak wielce pożytecznym czynnikiem jego rozwoju są stronnictwa, przedstawiające odrębne polityczne, filozoficzne i społeczne przekonania, a które we wzajemnem ścieraniu się dają ostatecznie siłę wypadkową zaznaczającą kierunek postępu. W narodzie niezawisłym samo doświadczenie politycznego życia najlepiej o tej prawdzie poucza. My jesteśmy w położeniu ze wszech miar wyjątkowem. Przed nami staje na pierwszem miejscu kwestya, którą inne narody już się zajmować nie potrzebują, kwestya *bytu*, a wszelkie inne sprawy to tylko drogi, po których do celu tego zdążamy. Ztąd też liczne u nas zboczenia od normalnych torów rozwoju, objawy liczne, z jakimi u innych narodów się nie spotkamy. Ze zboczeń tych jedne są *koniecznem* następstwem wyjątkowego naszego położenia, inne niepotrzebnie są wywoływane albo przez umysły zbyt słabe ażeby objąć i przeniknąć organiczną całość narodowego życia, albo przez politycznych spekulantów, którzy radzi wyzyskują dla swoich celów wyjątkowość stanu naszego. Do tych zboczeń niepotrzebnych, przez jednych szczerze i z przekonania, przez innych dla politycznej wywoływanych spekulacyi, zaliczamy także kierunek przeciwny tworzeniu się jakichkolwiek stronnictw, i tę niby chęć godzenia wszystkich tak, ażeby był „jeden pasterz i jedna owczarnia“, przy czem samo się przez się rozumie, że pasterzem tym ma być ten kto chce godzić, albo ktoś z najbliższego mu grona wzajemnej adoracyi. Skutkiem zaś tego wmawiania w nasz ogół, iż u nas stronnictwa są szkodliwe, wyradza się brak wyrobionych i jasno określonych przekonań tak w politycznym i społecznym jak i w filozoficznym względzie, brak odwagi cywilnej w jawnem przekonań swych głoszeniu i w ich obronie, lęk wielki jaki nas zbiera, gdy ktoś ma stanowczość przekonań swych i wyprowadza z nich konieczne logiczne następstwa. Uderza się wtedy silnie na „skrajności“, a słowem tem będącem u nas wybornym straszakiem, zabija się w bardzo znacznej części opinii publicznej tych, którzy mają przekonania wyraźne jako jawnie wywieszony sztandar, nie zaś jako chorągiewkę, dającą się łatwo ukryć pod jakimkolwiek płaszczykiem, jeżeli płaszczyk taki chwilowo jest dogodnym.

Z różnych chorób narodowych, jakie się w porozbiorowem życiu naszem wyrobiły, ten lęk przed każdym wyraźnym kierunkiem uważamy jako jedną z najszkodliwszych. Ludzie, którzy chorobę tę szerzą, sami może nie wiedzą ile tem krzywdy wyrządzają narodowi. Pod płaszczykiem owej powszechnej zgody, owego niby jedynego stronnictwa, jakie naród cały ma przedstawiać, ukrywają się łatwo i krzewią wszelkie najszkodliwsze dążenia. Jeżeli dążeń tych przedstawiciele mają dosyć zręczności i sprytu, ażeby występować w formie gładkiej i połowę swej szkodliwej tendencyi ukryć do czasu, póki nie uda im się częściowego odnieść zwycięztwa i wstępne pozycye zdobyć, jeżeli przeciwnik tych dążeń czując i rozumiejąc jakie będą konieczne następstwa tych pozornie małych a w gruncie wielce donioslych zwycięztw, wykaże jawno te konsekwencye i stanowczo na przeciwny obóz uderzy, zakrzyczą go zwykle nawoływaniem do zgody, zasypią zarzutami skrajności, bezwzględności a nieraz i stokroć gorszymi, a wtedy oczywiście nikt inny nie odnosi korzyści tylko ten, kto umiał zręcznie ukryć się pod ów płaszczyk zgody powszechnej, a schowawszy na jutro cząstkę najniebezpieczniejszą swych przekonań, zaapelował do solidarności. Pod owczą skórą wciska się wilk do owczarni, — nie wciska ale wygodnie wchodzi szeroką bramą, jaką mu w imię zgody otwarto; tych zaś co z niego owczą skórę chcą zedrzeć, „pasterze“ wyrzucają z owczarni jako niebezpiecznych.

Znamy ludzi, którzy w pismach swych występując niby bardzo stanowczo przeciw ultramontanizmowi, mimo to brakiem własnych wyrobionych przekonań, wołaniem nieustannem o powszechną zgodę, dziwną chęcią pogodzenia nieomylności z jednej, a swobodnego badania z drugiej strony, największą ultramontanizmowi oddają przysługę — a protestując gorąco przeciw czynionemu im zarzutowi wstecznictwa, jednak hamulcem się kładą pod koła postępu. Znamy takich, którzy głosząc potrzebę społecznych reform, bardzo u nas nagłą i piekącą, jednak ciągłemi dla przeciwników ich ustępstwami, nieustannem z nimi kokietowaniem pod hasłem zgody, konsekwentnem usuwaniem z wszelkich pozycyj ludzi zmierzających do tych reform z całą stanowczością i z całą siłą jasno określonych przekonań, największą sprawie reformy wyrządzają krzywdę. I robi się w końcu „jeden pasterz i jedna owczarnia,“ ale pod przewodem pasterza tego na krok naprzód postąpić nie można. Bo postęp wszelki tam tylko jest możliwy, gdzie się ścierają silne przekonania, gdzie walczą o lepsze zasady wyraźne, gdzie ludzie wybitni postępują na czele walczących hufców—ale nigdy tam, gdzie pod sztandarem pozornej zgody i solidarności zwycięża połowiczność i wszelka miernota.

Uznajemy, iż są chwile takie, w których stronnictwa, szczególniej polityczne i społeczne, muszą sobie wzajemne czynić ustępstwa, a nawet i takie, w których wszelkie stronnicze różnice zamilknąć muszą wobec rozgrywających się wielkich interesów narodu. Widzimy przykłady tego nawet u narodów mających byt niezawisły, i jest to niewątpliwą miarą patryotyzmu ogółu, czy w takiej chwili obowiązek ten należycie będzie pojętym i wypełnionym. Ale z takich chwil wyjątkowych i nie często się powtarzających, nie można wyprowadzać wniosku na całe życie narodu, i całe to życie w rozwoju jego tamować przez przyjęcie połowiczności wszelkiej za stałą zasadę działania. Patryotyzm wzrasta tylko na gruncie silnych charakterów, charaktery zaś nie wyrobią się tam, gdzie odwaga przekonań własnych ogłoszoną jest jako szkodliwa, a walka różnych zasad uznana jako destruktywny czynnik. Przeciwnie: im większą stanowczość rozwija inteligentny ogół w wypowiadaniu i obronie przekonań, im większą znajdziemy konsekwencyą w stosowaniu ich do praktycznych potrzeb narodu, im mniej owej połowiczności okrywającej

najsprzeczniejsze rzeczy powszechnej zgody płaszczykiem, tem pewniej liczyć można na to, iż na gruncie wyrobionych w takiej walce charakterów wytworzy się prawdziwy patryotyzm, który w danej chwili dozwoli każdemu zrozumieć i potężnie uczuć przykazy obowiązku. Zrozumiał to wybornie Libelt, gdy obok „miłości ojczyzny“ postawił „odwagę cywilną,“ gdy życiem swem całem i działaniem stwierdzał, iż pierwsza najpotężniej tam właśnie się rozwija, gdzie znajdzie się hart ducha i siła przekonania przypominająca horacyuszowe „si fractus illabatur orbis.“ Ojczyzna stoi charakterami, opiera się na jednostkach. Nie zabijajcież tych charakterów głosząc krucjatę przeciw tym wszystkim, którzy chcą według słów poety „jasno wśród narodu swego stać,“ nie odbierajcie tym jednostkom siły płynącej z wybitnego wyrobienia indywidualności, głosząc, iż obowiązkiem ich jest wypierać się codzień tego, co jest indywidualności podstawą, wypierać się swych przekonań. Na opoce tylko, a nie na sypkim piasku wzniesiecie gmach swobodnej a trwałej przyszłości narodu, a takim lotnym piaskiem stanie się gleba umysłów i serc polskich, jeżeli zawsze proskrybowany będzie i potępiany każdy kierunek wyraźny, każde przekonanie silne, każde jasne i konsekwentne działanie.

LIST JENERAŁA BEMA

pisany przed wyprawą węgierską w r. 1848.

Uprzejmości p. K. G. zawdzięczamy oryginalny list jenerała Józefa Bema, pisany we Lwowie w r. 1848 do hr. Z., a wyjaśniający zapatrywania jenerała na cel tworzenia legionów polskich w Węgrzech. List ten nie potrzebuje komentarza — dodajemy więc tylko, że autentyczność jego jest niewątpliwą, o czem świadczy samo porównanie pisma ze znajdującymi się we Lwowie autografami Bema. Oto osnowa listu:

Lwów, d. 29go Września 1848.

Panie Hrabio!

Wróciwszy do Lwowa po kilkunastoletniey niebytności znalazłem, iż Syn JWPana został przez swoy związek małżeński powinowatym moim.

Kochany i szanowany od wszystkich, co go bliżey znaią, stał on się iuż i dla mnie bardzo drogim.

Widzę przytem z wielkiem ukontentowaniem, że Pan Ludwik posiada wszelkie przymioty potrzebne, aby się stał chlubą dla Oyca, którego kocha i szanuie. Okazyi mu tylko dotąd brakowało. Ta okazya nastręcza się teraz, a ia korzystam z niey, aby Syn JWPana Dobrodzieya zaczął swoie życie polityczne czynem, który Imie Jego w Historyi polskiey pamiętnem uczynić może.

Rzecz iest taka:

Węgrzy, z którymi Polska od niepamiętnych czasów w przyjaznych była stosunkach, znayduią się teraz w położeniu bardzo krytycznem. Kroaci tudzież inni Słowianie którzy od kilku wieków z nimi są połączeni, podburzeni dzisiay od Niemców a nawet i od Moskali, powstali przeciwko nim. Woyna domowa wzmaga się groźnie. My tylko Polacy możemy powaśnionych pogodzić, nakłaniaiąc Madziarów do zapewnienia Słowianom wszelkich swobód konstytucyjnych, a tych przekonywaiąc, że dalszy ścisły związek z Madziarami iest dla nich naykorzystnieyszy.

Do tey wielkiey missyi namówiłem Syna JWPana Dobrodzieya. Xiążę Sanguszko Władysław, Xiążę Lubomirski Jerzy i kilku innych nayznakomitszych Deputatów naszych należeć do Niey będzie. Jedziemy na Tarnów i Wiedeń, gdzie zebrawszy się ułożymy plan działań naszych, i ztamtąd do Pestu się udamy. Formacya Legii Polsko Słowiańskiey, do którey cała Emigracya Polska się zaciągnie, pozwoli nam utworzyć w Węgrzech hufiec zbroyny, który naszey Interwencyi powagi doda, a który dla przyszłey armii polskiey zawiązkiem się stanie.

Jeżeli Bóg dozwoli plany nasze szczęśliwie do skutku doprowadzić, to niepodległość Polski w dawnych Jey granicach od Czarnego do Baltyckiego Morza wypłynąć z tego może. Miło zapewne będzie JWPanu Dobrodz. wiedzieć, że Imie Syna Iego do tego wielkiego rezultatu przywiązanem będzie.

Żałuię mocno, że zatrudnienia moie nie pozwalaią mi uczynić JWPanu Dobrodz. ustnie tey komunikacyi, a przytem złożyć mu osobiście moiey atencyi. I Syna JWPana wypuścić teraz nie mogę, bo za dni kilka iechać musimy, a przed wyjazdem iest ieszcze dużo interesów. Miłoby mi iednak było otrzymać od JWPana Dobrodz. słów kilka, a w nich życzliwe wyrazy dla zacnego Syna Iego.

Racz JWPan Dobrodz. przyiąć wyraz mego wysokiego szacunku i poważania

Jenerał J. Bem.

O RZEŹBIE.

Odczyt

OTTONA HAUSNERA.

(Ciąg dalszy).

O *Michale Aniele*, o tym Tytanie sztuki, który zamyka erę rozpoczętą przez Dantego, Giotta i Niccola Pisano, moim słuchaczom nic nowego powiedzieć nie zdołam. Któż nie zna życia, któż nie zna dzieł tego, któremu w całej pełni, w rzymskiem znaczeniu tego słowa należy się nazwa męża (vir). Czysty aż do ascetyzmu w swych obyczajach, dobry jak dziecko ze słabymi i niższymi, dumny i niezawisły wobec władzców świata, gorący, czynny i ofiarny patryota, znakomity poeta i pierwszorzędny twórca w trzech sztukach pięknych, wznosi on się nawet w tym wieku wielkich mężów wraz z Rafaelem po nad poziom tak wyjątkowo wywyższony.

A jednak Michał Anioł nietylko nie dorównał w prostocie i świętym spokoju Fidiaszowi, w piękności i wdzięku Praxitelesowi, ale nawet ten potężny, wymowny charakter, jaki wlewał w swe postacie nie zawsze jest charakterem, tym postaciom właściwym, lecz jego własnym charakterem, nieraz samowolnie narzuconym utworom jego dłuta. Dla tego też prawda Michała Anioła nie jest odwieczną, niezmienną prawdą, a jednak jest porywającą, przekonywającą prawdą dla tego, bo on ją tak i nie inaczej głęboko i szczerze czuł i tak jak ją uczuł, olbrzymią potęgą odtworzył. On we wszystkiem siebie samego, własne myśli i uczucia uwidocznił, nie zaś myśli i uczucia, które się koniecznie z przedmiotem łączą. Ztąd pochodzi jego alegoryka często zagadkowa lub samowolna, ztąd wciąganie obcych przedmiotowi żywiołów, ztąd udzielanie niewłaściwe ubóstwianych atletycznych kształtów. Ale tak wszechwładnym był urok jego wykonania, tak czarująco działał wpływ jego imponującej wielkości, że nawet przed mylnie pojętym utworem korzono się i korzą się dotąd, jak przed niepokalaną doskonałością, i takim sposobem on, jeden z najszczytniejszych geniuszów wszechczasów stał się pierwszym sprawcą upadku i zepsucia sztuki tak w rzeźbie, jak w malarstwie. I inaczej być nie mogło. On sam to przepowiedział, mówiąc: „Moja wiedza spłodzi ród nieuków“. On wskazał swym uczniom drogę do przepaści, stawiając swą wolę, swe pomysły, swoją subjektywność wyżej nad wieczną prawdę, nad wieczne prawa sztuki. Co w nim niesłychana brawura wykonania pokrywała, to w szkole jego nago na jaw wyszło, gdy naśladowcy jego wzniosłość i potęgę zastąpili zuchwałością i przesadą.

Cztery główne filary jego sławy rzeźbiarskiej są: Dawid, Mojżesz, Pietà i groby Medyceuszów. Dawid jest najsłabszem z tych dzieł. Myśl przedstawienia niedorostka w kolosalnych rozmiarach jest chybiona. Natchnienia, ufności w Bogu w tym pięknym i silnym młodzieńcu nadaremnie szukać. Za to Mojżesz jest najpotężniejszem wcieleniem gniewu i srogości starego zakonu. Ten prorok o piorunującej źrenicy, zrywający się aby zdruzgotać lud bałwochwalczy korzący się przed złotym cielcem, jest to, zaiste, człowiek który widział Boga, który usłyszał odgłos jego strasznych wyroków. W tej postaci jest jakby wola, jakby przygotowanie do ogromnego ruchu, którego oglądający mimowolnie z trwogą oczekuje. Wykonanie brody, gniewną dłonią do piersi przyciśniętej, jest cudem techniki, jakiej starożytność nie znała. „Pietà“ czyli Matka Boska z ciałem zmarłego syna na kolanach jest ze wszystkich dzieł Michała Anioła najgłębszem uczuciem religijnem owiane. Matka Boska jest młodą, poważną, niepokalaną dziewicą. Jej boleść nie jest straszną rozpaczą matki śmiertelnej, lecz raczej smętnem zdumieniem wobec bolesnego spełnienia woli Pańskiej. Ciało Chrystusa, w śmierci jeszcze zbolałe, słusznie nazwano najwymowniejszem z wszystkich ciał zmarłych. Grobowce Medyceuszów, Giuliana i Lorenza z figurami nocy, dnia, zmierzchu i jutrzenki, są najwspanialszym, najbardziej wykończonym pomnikiem jego wiedzy, jego stylu, jego wyobraźni i wytrwałości, a wśród nich postać dumającego Lorenza jest najgłębszym, jutrzenka zaś najdoskonalszym jego utworem. On sam zaś uważał noc za najlepsze swe dzieło i jej te piękne wiersze w usta włożył:

„Miłym mi jest sen, milszem być z głazu
Podczas gdy bezprawie i hańba panują
Nie wiedzieć, nie czuć jest mi wielką łaską,
Przeto nie budź mnie, błagam mów ciszej.“

Wpływ Michała Anioła był tak wszechwładny, że z współczesnych prawie tylko jeden *Jacopo Tatti*[1]) potrafił utrzymać się w śladach swego mistrza Andrea Contucci, i swą słodyczą i czystą pięknością form na nowo ożywił szkołę rzeźbiarską Wenecką, założoną przez *Pietro Lombardo*[2]), tak iż ona dłużej od innych szkół włoskich kwitła w eleganckiej prostocie[3]).

Za to złotnik i odlewnik *Benvenuto Cellini*, choć wykarmiony tradycyą Donatella, w swych większych rzeźbach (tak w sławnym Perseuszu)

---

[1]) Bachus we Florencyi, posąg Tomasza Rangone w Wenecyi.

[2]) Mauzoleum Piotra Moceniego w S. S. Giordanni e Paolo w Wenecyi.

[3]) Główni mistrzowie tej szkoły są Danese Cataneo, Alessandro Vittoria i Girolamo Campagna.

dał się porwać prądem Michała Anioła, niemniej jego zacięty przeciwnik zawistny *Baccio Bandinelli* [1]) i dziwny mistrz Modeński *Antonio Begarelli*, który pracując wyłącznie w terrakocie, umiał jej nadać ruch dramatyczny, z niej wydobyć wyraz mąk i cierpień [2]).

Z uczniów Michała Anioła jeden jest tylko godny mistrza. Jest to *Giovanni da Bologna*, urodzony w Flandryi, lecz wykształcony i pracujący we Włoszech. Posiada on wysoko wyrobiony zmysł dla efektownej piękności ogólnych zarysów. Grupy jego, pod gołem niebem stojące, uderzają harmonijnem połączeniem śmiałości ruchów ze stałością i prawdopodobieństwem (Posąg konny Kozmy Igo we Florencyi, Filipa IIIgo w Madrycie, porwanie Sabinek w Loggii, fontana Neptuna w Bononii, kolos Apenina ze skały wykuty w Pratolino.)

Guglielmo della Porta słynie z powabnego oddania pulchnych, młodocianych form kobiecych, jakie podziwiać można w postaci Sprawiedliwości u stóp grobowca Pawła IIIgo w Watykanie *Nicolò Tribolo* wykazuje w swych prorokach i Sybilach w S. Petronio w Bononii niepospolitą miarę i czystość stylu. Więcej roznamiętniony jest *Ippolito Scalza* w swem Zdjęciu z krzyża w Orvieto. *Pietro Tacca* na nowo odkrył zapomnianą sztukę wykuwania posągów z twardego porfiru [3]). *Bartolommeo Ammanati* wsławił się szczególnie bogatemi ozdobnemi rzeźbami fontan [4]) *Montorsoli i Raffaelo da Montelupo* są już przedstawicielami najzgubniejszej przesady, jak grobowiec Andrzeja Doryi w Genui pierwszego i pomnik Leona Xgo w Rzymie drugiego, uczą.

Z początkiem 17go wieku zapanował w rzeźbie włoskiej styl zwany *Barocco* lub Rococo, z równą śmiałością i bezwzględnością jak w architekturze, stanowczej i z mniejszym oporem, jak w malarstwie. Mistrzem i prorokiem tego stylu jest *Lorenzo Bernini*, artysta genialny, który obalił wszelkie fundamentalne zasady rzeźby i postawił jako regułę, że posąg nie powinien wyrazić tego, czem postać jest, lecz to, co czyni, wprowadził więc ożywienie fałszywe, teatralne, w rzeźbę i posługiwał się do osiągnięcia tego celu gwałtownemi ruchami bez konieczności, draperyą niespokojną, powiewającą bez przyczyny, wyrazem ekstazy chorobliwej, bólu fizycznego bez walki i szlachetności, lub, co gorzej, rozkoszy zmysłowej. Dodajmy do tego nadużycie do śmieszności posunięte, allegoryi [5]), używanie różnorodnych materyałów (marmuru, brązu, alabastru, granitu a nawet gipsu) w jednym i tym samym pomniku, nareszcie zwyczaj polerowania marmuru, który swą lśniącą powierzchnią stał się podobnym do galarety migdałowej i pozbawiał postaci wszelkiej estetycznej cechy, to mamy obraz stylu Berniniego w którym przez niemal 180 lat wszystkie rzeźby wykonywano. Nie możemy jednak zamilczeć, że przedmiotowe zdolności Berniniego i kilku jego następców były bardzo znakomite, co się szczególnie w popiersiach portretowych okazuje, iż czynność rzeźbiarska w tej epoce była tak ogromną, że zostawiła więcej pomników jak starożytność, średni wiek i odrodzenie razem wzięte, że wartość rzeźb dekoracyjnych, z architekturą połączonych, na znakomitej wysokości utrzymała się i że ten styl imponującą kolosalnością napiętrzonych grobowców i misternem zestawieniem wielkich grup w pewnej mierze zasłania brak spokoju, prostoty, czystości linii i prawdziwego uczucia. Najwybitniejsze okazy sztuki Berniniego są: Porwanie Prozerpiny [1]), w której pulchne ciało Pluton zatapia swe dłonie, Męka Św. Sebastyana, wijącego się jak robak pod pociskami strzał [2]), Grupa Świętej Teresy [3]), histerycznie omdlewającej na marmurowych obłokach, podczas gdy pożądliwy Anioł wymierza cios w jej serce, i kokietujący Aniołowie na moście Sant Angelo, o których ludowy satyryk, Pasquino, mawiał: „Śmieją się, tańczą, śpiewają, lecz równych łopatek nie mają“ [4]). Obok Berniniego słynie *Alessandro Algardi* [5]), którego płaskorzeźby Attyli (w Watykanie) i świętej Agnieszki (w S. Agnese in Piazza Navona) mieszczą w sobie bardzo piękne szczegóły, choć zupełnie odstępują od cechy tym utworom właściwej.

Najdziwniejszą mięszaninę imponującej budowy całości ze złym smakiem szczegółów daje nam *Pietro Bracci* w grobowcu Klementyny Sobieskiej i w fontanie Trevi. W tej ostatniej ugrupowanie po rozrzuconych, granitowych skałach, pod łukiem tryumfalnym i w framugach jest niezmiernie malownicze i pomimo wadliwości pojedyńczych postaci, podziwienie budzi. Dokąd zaś niektórzy rzeźbiarze tego czasu posunęli ze swemi wyuzdanemi pomysłami, poucza nas kaplica książąt Sangro w Neapolu, gdzie Genueńczyk Queirolo przedstawia nam „Grzech“ (lub według innych „Rozczarowanie“) złapany w sidłach marmurowych, z których go Anioł wybawia [6]). Tylko rzeźbiarz z profesyi pojąć może, jakie katusze najbieglejsza ręka artysty wycierpieć musiała, aby dojść do tak misternego wykonania prawdziwego potworu smaku.

Wśród tego wyuzdania, *Stefano Maderno* w swej Męce Świętej Cecylii, pełnej rozczulającej rezygnacyi, tworzy jedyny wyjątek chwalebny.

Już około połowy 18go wieku styl w rzeźbach cokolwiek się polepszył, dążenie Mengsa do spokojnej elegancyi w malarstwie i w naszej dziedzinie się odezwało [7]) i usunęło najgorsze wykroczenia manieryzmu. Lecz ten ruch został sparaliżowany zupełnym brakiem twórczych i oryginalnych talentów.

Dopiero około 1780 r. pojawił się *Antonio Canova*, i jemu niezaprzeczenie należy się wielka zasługa, że nie tylko poprawił styl zepsuty, ale całe zadanie rzeźby na nowo pojął w myśli odwiecznych praw tej sztuki. Za życia jego wznoszono go pod niebiosa, ogłoszono go wskrzesicielem starożytnej piękności, nowoczesnym Praxitelem. Później szczególnie zwolennicy Thorwaldsena, usiłowali zbyt uszczuplić jego sławę, zarzucając mu brak siły i charakteru. Dziś każdy bezstronny co najmniej przyznać musi Canovie, że on genialniej, sympatyczniej i trwalej wykonał zwycięski powrót do wzorów starożytności, do klasycyzmu w rzeźbie, niżeli zimny republikanin David to uczynił w malarstwie. Nagrobek Klemensa XIVgo [1]) ze swą poważną prostotą rozpoczął tę rewolucyę w dziejach sztuki, nagrobki Klemensa IIIgo i Stuartów [2]) z pysznymi lwami u stóp i klęczący posąg Piusa VII dokonały ją. Jego Amor i Psyche (w Vila Sommariva nad Lago di Como) jest istnym kantykiem młodocianej miłości wykutym w marmurze. Grobowiec arcyksiężnej Krystyny u Augustynów w Wiedniu ma całą uroczą powagę i słodką melancholię Sansovina [3]). Tezeusz z Minotaurem w Wiedniu, Herkules z Lykasem w Wenecyi, Gladiatorowie w Watykanie i posąg konny Karola IIIgo w Neapolu [4]) pokazują go w zadaniach, jego usposobieniu mniej odpowiednich, z których się jednak świetnie wywiązał. Duńczyk *Barthel Thorwaldsen* dokończył zadanie przez Canovę podjęte. Mężniejszy, energiczniejszy, głębiej sięgający w ducha starożytności, jednak i on zespoleniu ducha chrześcijańskiego z pięknością posągową całkowicie podołać nie potrafił. Pomimo uroku jego Chrystusa z Apostołami, jego wjazdu p. Jezusa do Jerozolimy, i jemu pogańskie utwory (Wenus, Hebe i Wulkan w Kopenhadze, Apollo w Villa Torlonia, Adonis w Monachium) zjednały największą sławę. W płaskorzeźbach jest to pierwszy mistrz od czasów greckich i jego pochód tryumfalny Aleksandra Wielkiego (w Villi Sommariva) jest najokazalszem arcydziełem tego rodzaju. Ze szkoły Canovy wyszli: *Tito Angelini*, *Giovanni de Maria*, *bracia d'Este*, *Fabris*, *Ferrari*, *Zandomeneghi*, *Massimiliano Laboureur*, *Pompeo Marchesi*, *Giovanni Obici*, *Stefano Ricci i Rinaldo Rinaldi*. Dziś ją z niejakim blaskiem reprezentują *Ansiglioni* ze swą „Nocą“ dziwnie lekko wzlatującą i *Rossetti* z Psyche zadumaną, prawdziwym klejnotem naiwnej niewinności. Szkoła Thorwaldsena wydała we Włoszech większych mistrzów: Finelli [5]), Luigi Bienaimé [6]), Pampaloni [7]), Galli [8]), Jacometti [9]), Luccardi [10]), Marocchetti [11]) przedewszystkiem zaś *Pietro Tenerani*, zachowali duch mistrza w całej czystości, Ostatni z nich umiał wlać w postacie o liniach greckiej czystości głębokie uczucie religijne (Zdjęcie z krzyża w Lateranie, Anioł zmartwychwstania na grobowcach Lante i Karolyi). Jest to jedyny rzeźbiarz, którego posągi

---

[1]) Herkules uduszając Kakusa we Florencyi.

[2]) Złożenie do grobu w S. Pietro w Modenie.

[3]) Posąg konny Ferdynanda Igo we Florencyi i Filipa IVgo w Madrycie. Pomnik Ferdynanda Igo z 4ma Murzynami w Liworno.

[4]) Fontana Neptuna we Florencyi.

[5]) Przy grobowcu Aleksandra VIIgo szkielet podnosi ciężki całun z żółtego marmuru i wskazuje na napis. Z nagrobku Benedykta XIV anioł z trąbą spędza rój nałogów w nieładzie pierzchających i t. p.

---

[1]) W Villa Ludovisi.

[2]) W San Sebastiano.

[3]) W Santa Maria della Vittoria.

[4]) „Ride, canta e balla, pur' gli manca una spalla.“

[5]) Tutaj nazwać można jeszcze Francesco Mocchi da Montevarchi (Posągi konne Fornezych w Piacency), Camillo Rusconi (grobowiec Grzegorza XII w Watykanie) i Filippo Parodi (Matka Boska w S. Maria di Castello w Genui.

[6]) W tej samej kaplicy Sammartino wykonał zmarłego Chrystusa całunem okrytego, Corradini zaś „Wstydliwość“ w przejrzystej powłoce. I w tych dziełach zręczność w oznaczeniu form ciała pod niby cienkiem płótnem niesłychana, a jednak przewrotność intencyi, szczególnie w Wstydliwości bezwstydniejszej od Wenery Kallipyge, obraża zmysł estetyczny.

[7]) Niccolo Traversi w Genui cechuje te dążności, w swym „Dedalu z Ikarem.“

---

[1]) W kościele Św. Apostołów.

[2]) W Św. Pietrze.

[3]) Uczniowie Canovy uważali pomysł tej piramidy grobowej, dokąd zmarłe alegorye cnót i błogosławieństwa ubogich odprowadzają, za tak niedorównany, że po jego śmierci jemu w S. Maria di Frari podobny grobowiec z odmiennemi postaciami alegorycznemi, postawili.

[4]) Którego Garibaldi w r. 1860 od napaści ludu ochronił, wołając: „Szanujcie nie króla, ale Canovę!“

[5]) Tryumf Trajana w Watykanie.

[6]) Diana.

[7]) Pokutująca Magdalena.

[8]) Mars w pałacu Torlonia.

[9]) Pocałunek Judasza.

[10]) Scena z powodzi.

[11]) Posąg konny Filiberta Emanuela w Turynie.

*

wznoszą się w pięciu częściach świata [1]). Dzisiejsza szkoła idealistyczna florencka, na której czele stoi *Giovanni Duprè* ze swą Pietà i tryumfem Religii a obok niego, *Pio Fedi* ze swym Pyrrhusem i Polykseną (w Loggii) również zasadami Thorwaldsena się powoduje. Jednak już w r. 1820 *Lorenzo Bartolini* podniósł przeciw idealizmowi nadobnemu Canovy i poważnemu Thorwaldsena sztandar *realizmu*. Jak dalece posiadał dar zlania zewnętrznych znamion rzeczywistości z natchnieniem, najsilniej dowodzi leżąca na sarkofagu postać hrabiny Zamojskiej w Santa Croce. Szkoła Bertoliniego rozwinęła się tak zwycięsko, że dziś we Włoszech jego zasady kierują stanowczo większością rzeźbiarzy. Szkoła Medyolańsko-Genueńska nie waha się objąć rzeźbą wszelkie afekta, typy, zdarzenia, stroje i atrybucye codziennego życia teraźniejszego, nawet w kierunku żartobliwym, satyrycznym i wytworzyła niejako rzeźbę rodzajową (Genze). Najznakomitsze dzieła dwóch głównych mistrzów tej szkoły: Ostatnie chwile Napoleona Wielkiego *Wincentego Vela* [2]) i Jenner szczepiący swe dziecię *Juliusza Monteverde* [3]) wykazują, że realizm ich nie uwłacza głębokości myśli ani wzniosłości uczucia. Ale i dzieła Pietra Magni [4]) Guarnerio, Tantardini [5]), Barzaghi [6]) i Tabacchi [7]) i innych [8]) na wystawie Paryskiej, i jeszcze więcej na wystawie Wiedeńskiej, zjednały sobie gorące uznanie większej publiczności. Uderzająca prawda wrażeń i typów dzisiejszych, wszystkim znanych i zrozumianych w tych dzieciach puszczających bańki mydlane, w starszej siostrzyczce udającej płacz aby wzbudzić współczucie młodszego braciszka, w przymusowej modlitwie niegrzecznego chłopaczka, przyciągała i porywała nawet obce estetycznym pojęciom warstwy. Niesłychanie miękkie obrobienie marmuru nie mało do tego powodzenia się przyczyniło. Pod tym względem nikt nie prześcignął *Karola Monari* w Bononii którego „Niepocieszona“ u stóp nagrobka Minelli (w Campo Santo Bonońskiem) ma rozpuszczone włosy, koronki i suknię atłasową bajecznie łudzącą dokładnością w marmurze odtworzone. We Florencyi *Salvino Salvini* w posągu konnym Wiktora Emanuela i *Enrico Pazzi* w pięknym pomniku Dantego [9]) przeszli do obozu realistów, którzy, jakkolwiek stronią od przesady i złego smaku manierystów 17go i 18go wieku, jednak stanowczo przekraczają właściwy zakres rzeźby i uzurpują zadania, malarstwu zastrzeżone.

(C. d. n.)

---

[1]) Pomniki Bolivara w Caracas i Sta Fe, grobowiec Estrada w Mexyku, nagrobek Mercerów w Natchez (Stany Zjednoczone), Hebe w pałacu Beya w Tunis, posąg filantropa milionowego Dżidziboja w Bombay, pomnik gubernatora Wentworth w Sydney.

[2]) Największem jego dziełem jest kolosalny pomnik Kolumba w Genui.

[3]) Jemu powierzono wspaniałe Mausoleum Belliniego w Catanii.

[4]) Sokrates Angelica.

[5]) Czytelnica.

[6]) Córka Faraona z Mojżeszem.

[7]) Karnawał.

[8]) Hrabia Oldofredi ze swym Napoleonem III. w Chislehurst, Bottinelli z narzeczoną zawelonowaną.

[9]) I Tito Sarocchi w Tobiaszu grzebającym zmarłych.

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Ponieważ Celiński pierwszy ruch wywołał, nie było dobrej racyi, wyłamywać się z pod jego kierownictwa, trzymał się więc Szaramowicz jego rozkazu a idąc nadbrzeżem, zabierał po drodze szczególniej po stacyach pocztowych konie i broń, i tym sposobem zdobył dla swego nielicznego, bo zaledwie 80 ludzi liczącego oddziału, nieco koni, utworzył garstkę kawaleryi i dowództwo nad nią powierzył Eljaszewiczowi.*) Konnych zaraz pchnięto naprzód jako awangardę z rozkazem, aby się podsuwali w pospiesznym marszu pod Miszyszychę, gdzie był Celiński, i tam dotarłszy, oczekiwali nadciągnienia pieszych z Szaramowiczem.

Od Murymu do Miszyszychy odległość dość znaczna: wiorst sto kilkanaście, spieszyli więc powstańcy o ile tylko siły ludzi i koni pozwolić mogły. Już byli niedaleko od Miszyszychy gdy ujrzeli na drodze kilka wózków pocztowych ku Murymowi jadących. Ucieszyli się powstańcy dobrą obławą, bo konie, to w każdym razie był cenny dla nich nabytek. Gdy wózki zbliżyły się nieco, dostrzeżono w nich mundury i „kepi“ wojskowych moskiewskich. W tym więc razie zdobycz jeszcze droższą się okazała i Eljaszewicz jadący na przedzie, nie długo się namyślając, dał znak swojej kawaleryi, która też scisnąwszy konie ruszyła na spotkanie oficerów. Oficerowie na wózkach byli właśnie owym sztabem przeznaczonym do przeglądu więźniów wzdłuż wybrzeża bajkalskiego.

Zanim jeszcze zbliżyć się mógł cały oddzialik w pełnym kłusie do wózków i te zatrzymać, jeden z oficerów a mianowicie pułkownik Szac kazał wózkom zatrzymać się, a mając przed sobą sformowanych zbrojnych polaków w widocznym był kłopocie co dalej robić. Ani ucieczka, ani obrona nie była możliwą; gdy więc zatrzymały się wózki, Szac wysiadł wraz z innymi i szedł dość spokojnie naprzeciw zbliżających się powstańców.

Eljaszewicz podjechał i natychmiast wezwał wojskowych do złożenia broni. Oficerowie bez żadnego oporu odpięli pałasze i wraz z rewolwerami oddali powstańcom, którzy ich natychmiast otoczyli i poprowadzili w dalszym marszu ku Miszyszysze. Jadąc tak kilkanaście wiorst dalej, zoczył Eljaszewicz o kilkaset kroków znowu kibitkę pocztową, obok której kłusował kozak. Wyprzedziwszy znacznie oddział i nie czekając zrównania się z nim popędził naprzeciw jadących i poznał pułkownika Czerniajewa na wózku siedzącego. Uradowany, że tak szybko same tuzy w ręce powstańców wpadały, przyskoczył do kozaka wołając: *„brasaj ružio“* (rzucaj broń). Przestraszony kozak, wlepił oczy w swego pułkownika żądając niemo rozkazu, co robić. A gdy powtórnie Eljaszewicz krzyknął: „Składaj broń“, Czerniajew chłodno zapytał: „Co to znaczy?“ *„Znaczy to, żeś pan przez polskich więźniów aresztowany“*, odpowiedział dobitnie Eljaszewicz, Czerniajew wówczas skłoniwszy się z wyrazem: *charaszo*, równocześnie odpasał pałasz i oddał go z rewolwerem Eljaszewiczowi. Oddział jednocześnie zbliżył się, a zabrawszy w środek aresztowanych zapytano Czerniajewa, czy nie ma ze sobą pieniędzy rządowych, wiedząc o tem dobrze, że Czerniajew, objeżdżając więźniów, z pewnością musi je mieć na wypłatę żołdu dla wojska i zakupna prowiantów dla więźniów; Czerniajew jednakże słowem honoru zapewnił, że kilkaset rubli, które się przy nim znajdują, są jego osobistą własnością, zabrano więc tylko konie i włączono je do oddziału jako luzaki. Załatwiszy się w ten sposób ze spotkanymi, oddział pospieszył w dalszą drogę.

Bez szczególnych wysileń, w pierwszej chwili do rąk dostały mu się najgłówniejsze figury i prawdziwi sprawcy katuszy zabajkalskich. Na miejscu Polaków, Moskale niewątpliwie darliby pasy na wzór *Żeleźniaków* ukraińskich, mszcząc się za męczarnie od nich doznane. Ale więźniami nie kierowała namiętność; oni udowodnić chcieli swoimi czynami, że występując przeciw gwałtom moskiewskim, nie dopuszczają się ich sami na ludziach pozbawionych obrony! Był im nawet takowy nabytek uciążliwym, a więc dopadłszy do najbliższej stacyi zwanej *miszyszyńską*, o sześć wiorst od osady odległej, tam ich pozostawiono, z przydaniem tylko kilku powstańców dla straży, ażeby nie zechcieli probować jakich środków celem zgniecienia powstania.

W Miszyszysze był już Celiński. Biegał on po bałaganach (szałasach) zachęcając więźniów do natychmiastowego powstania. Ale i tutaj podobnie jak w Murymie, wystąpiły zachowawcze uczucia, ujawniając się jeszcze wyraźniej niż gdzieindziej. Eljaszewicz zastał Celińskiego zupełnie w podobnem położeniu, jak był Szaramowicz w Murymie. Aby podnieść upadającego ducha ogółu, w przytomności więźniów złożył Eljaszewicz Celińskiemu jako głównemu naczelnikowi raport wojskowy o zdobyczy, która się w ręce powstańców dostała i o tem, że Szaramowicz z oddziałem pieszych nadciąga do Miszyszychy i najdalej na drugi dzień rano (23 czerwca) stanie na miejscu. Przyczem nadmienił Eljaszewicz o życzeniu Szaramowicza, aby w Miszyszysze oczekiwano złączenia się jego ze wszystkimi powstańcami.

Celiński na życzenie ostatnie Szsramowicza zupełnie nie zwracał uwagi, a przypuszczając że Irkuck może już być zawiadomionym o powstaniu więźniów, i że Moskale nadesłani ztamtąd, zechcą zająć niezawodnie Pussolsk, położony w górze jeszcze o 200 wiorst od Miszyszychy, aby przeciąć powstańcom komunikacyą z innemi katorgami, przystąpił do uorganizowania tych sił, jakiemi mógł na razie rozporządzać, i postanowił nie tracąc czasu coraz dalej i spieszniej posuwać się ku Pussolskowi, aby tylko wyprzedzić Moskali i ich wylądowaniu przeszkodzić.

Do oddziału Eljaszewicza, złożonego z trzydziestu kilku, dodał Celiński jeszcze dwudziestu konnych, mianując plutonowym niejakiego Rajnera, Eljaszewicz zaś jako dowódzca odebrał rozkaz forsownie spieszyć w kierunku oznaczonym, i wzmocniwszy się po drodze, obsaczyć Pussolsk. Wówczas Moskale mieliby zatamowany przystęp do brzegów. Celiński zaś w oczekiwaniu Szaramowicza pozostał w Miszyszysze dla sformowania reszty sił powstańczych, poczem niebawem miał za Eljaszewiczem podążyć.

Droga od Kultuku (blisko 200 wiorst) do Miszyszychy była zanadto wielką, aby ją pieszym powstańcom przejść można było w 48 godzinach, nic więc dziwnego, że Szaramowicz nie mógł zdążyć na czas oznaczony przez Eljasze-

---

*) Służył przy dragonach moskiewskich, dzielny żołnierz i zacny kolega.

wicza, i że jeszcze jedna doba przeszła, a o jego poruszeniach nie było żadnej wieści.

Celiński chcąc jeszcze większą ilość więźniów pociągnąć za sobą, używał wszelkich środków do ich przekonania, a gdy i z przeciwnej strony nie brakło argumentów przeciw łączeniu się z powstańcami, wpływać to zaczęło tak szkodliwie na tych, co już po stronie ruchu stanęli, że znaczna liczba odciągnąć się dała i odstąpiła zupełnie od pierwotnego zamiaru.

Dłuższe pozostanie Celińskiego w Miszyszysze zagrażało rozbiciem się i tej garstki, na którą liczył, nie pozostało mu więc nic innego, jak natychmiast opuścić Miszyszychę. Z oddziałem zatem wynoszącym 60 ludzi, uzbrojonym po części w karabiny odebrane straży moskiewskiej, Celiński wyszedł z Miszyszychy i pozostawiając w niej około czterysta więźniów zupełnie nie biorących żadnego udziału w ruchu, stanął o kilkanaście wiorst powyżej osady, oczekując tam nadejścia Szaramowicza.

Takie postępowanie współwięźniów, odłączenie się ich zupełne od tych co podjęli myśl oswobodzenia siebie i drugich, zadało klęskę ruchowi w samym jego zawiązku! Nie chcę tu twierdzić, że gdyby wszyscy katorżnicy jednomyślnie powstali, to ruch cały wypadłby pomyślnie, ale przynajmniej znacznej części więźniów udałoby się przejść na terytorym Mongolii lub Bucharyi. Wprawdzie równie trudno przewidzieć, jakiby ostatecznie los spotkał tych odważnych w przemarszu przez pustynie srodkowej Azyi przy braku dostatecznej żywności i innych przeszkodach, a nawet przypuszczać można, że z kilku tysięcy zrozpaczonych wędrowców zaledwie dziesiątki uchwyciłyby kotwicę istotnego ratunku! Cofanie się jednakże w chwili stanowczej w którą rozpacz pchnęła kolegów, od współdziałania cofanie się, narażające na pewną już zgubę te ofiarne setki gorętszych, było w każdym razie czynem zbyt samolubnej ostrożności.

Niepodobna jednak występować tu z całą surowością sądu, ponieważ nie było to odszczepieństwo od sprawy narodowej, lecz tylko od sprawy jednostek, walczących o swobody własne, sprawy, w której wolno było każdemu w ten lub inny sposób, poświęcić siebie, lub nie. Młodzieniec pałający żądzą bezgranicznych poświęceń, w którego piersiach biło serce pełne odwagi i męztwa, odmienniej musiał spoglądać na swoje życie i zgon, niż ten, któremu obraz jego osieroconej rodziny, żony, niemowląt, może w tej chwili mordowanych przez bezlitosnych siepaczy moskiewskich, w ciężkiem umęczeniu skleić powiek nie dozwalał i spleśniały kęs chleba od ust zgłodniałych odtrącał.

Ojciec rodziny, który spiesząc na głos ojczyzny, nie wahał się poświęcić jej życia, jeżeli nie padł wśród ogólnego zamętu, to później zwalczony, choć w pętach niewoli, czuł przecież jakie takie życie, i mógł jeszcze zamarzyć, że po latach wielu, powróci do rodzinnej zagrody i uściśnie drogie sercu istoty! I ta nadzieja mogła go wstrzymać od stawienia wszystkiego na kartę.

Po wyjściu Celińskiego z Miszyszychy, pozostali więźniowie poczęli myśleć o środkach mających ich najlepiej ochronić od prześladowań moskiewskich. Trzech z pomiędzy nich . . . . . , . . . zrobili natychmiast *spis* pozostałych i udali się z takowym na *„stacyę Miszyszyńską“*, gdzie się znajdowali aresztowani oficerowie moskiewscy w celu wręczenia tego spisu pułkownikom Szacowi i Czerniajewowi, jako dowód zupełnej ich odrębności od powstańców, któryby mógł służyć za obronę nie biorących udziału w ruchu jeśli powstanie byłoby stłumionem. Pułkownicy przyjęli ten akt obojętnie, odpowiedzieli, że sami są niepewni co ich czeka i odesłali delegacyę *z trzech* do Miszyszychy dając im w odpowiedź stereotypowe słowo *„charaszo“* mogące znaczyć w tym wypadku równie źle jak i dobrze. Celiński z garstką swoją z drugiej strony Miszyszychy przechodził tymczasem istne męczarnie, nie miał żadnych wieści z południa od Szaramowicza ani też o jeździe Eljaszewicza maszerującej ku Pussolskowi. Nic dziwnego, że w takiem odosobnieniu Celiński poczuł dreszcze niepewności, a w końcu i bezsenność kilkudniowa odebrała mu ostatki sił fizycznych.

Nareszcie po kilku godzinach od strony północnej zasłyszany tentent koni, przerywa zadumę rozłożonych w obozie powstańców, po chwili pokazuje się wracający oddział Eljaszewicza z rannymi uprowadzonymi z potyczki odbytej.

Obawy Celińskiego o wylądowanie Moskali w Pussolsku nie były płonne. Gdy wieść dobiegła do Irkucka o powstaniu zabajkalskiem, pchnięto w najgwałtowniejszym marszu wojsko jakie mogli na prędko zebrać Moskale, aby tylko Pussolsk zająć i na razie czoło postawić bajecznej liczbie powstańców. Zebrano wszystkie możebne kibitki w mieście i po przedmieściach, ponapychano w nie żołdactwo i w całym pędzie koni wieziono ich pięćdziesiąt wiorst do Listwiennicznej, gdzie statki oczekiwały już na brzegach, aby je przewieść na drugą stronę Bajkału.

W pewnej odległości od Pussolska spuszczono kotwice, statki się zatrzymały a natomiast wypłynęły ostrożne łodzie na rekonesans. Pokazało się, że w Pussolsku nie ma Polaków a więc wylądowanie wojska niebawem nastąpiło.

Z Pussolska Moskale wyruszyli ku Miszyszysze, wysłali naprzód zasadzki cząstkowe, tak daleko, jak tylko można było, a tymczasem główna kolumna posuwała się w porządku bojowym naprzód z rozsypanym łańcuchem tyraljerskim.

Ostatnia a raczej pierwsza od Miszyszychy moskiewska zasadzka zrobiona była na jednej ze stacyi pocztowych, których jest wiele wzdłuż całego pobrzeża. Było to właśnie owo miejsce, na które mimowolnie nadjechał Eljaszewicz z naszymi. Nie przypuszczał on, żeby Moskale tak daleko się podsunęli, tem więcej że od nikogo na tym bezludziu języka nie można było dostać, i gdy w celu zabrania koni zdążał wprost do stacyi i już znalazł się pomiędzy zabudowaniami pocztowemi i osadniczemi, nagle rozległy się strzały z ukryć zasadzki.

Na strzały powtórzone, cofać się nasi poczęli, lecz ponieważ ognia dawano tylko z zabudowań pocztowych, więc Eljaszewicz rzucił się w stronę poczty, aby z tamtąd wyparować Moskali. Wystawieni na bliższe strzały, powtórnie cofać się musieli. Oprócz kilku rannych, innych strat dotąd nie było, a cofać się z tym rezultatem było niepodobieństwem; rzucono się więc ponownie na budynki a kule moskiewskie wylatujące coraz gęściej z rozmaitych szczelin płotów, parkanów i dziedzińca tym razem dotkliwiej czuć się dały Polakom. Broń palna, którą powstańcy mieli z sobą, tutaj niewiele przydać się mogła. Jedynie bagnety i pałasze mogły rozstrzygnąć utarczkę, trzeba jednakże było zdobywać po kolei każdy przedmiot, po za którym Moskale ukryci byli. Powstańcy uderzyli pieszo jeszcze raz i tym razem zapuścili się głębiej między zakręty dziedzińca. Gdy Moskale uczuli na swych grzbietach zbliżających się Polaków, opuścili odkryte miejsca, i zostawiając swoich rannych i zabitych chronić się zaczęli do wnętrza głównego budynku. Wśród tej utarczki jeden z konnych, nazwiskiem Zarembecki, zanadto posunął się naprzód, zostawiając za sobą w dobrem oddaleniu kolegów zajętych ręcznym bojem, wpadł pomiędzy kilkunastu Moskali, którzy w tej chwili zatarasowali wrotami część dziedzińca przed przysionkiem budynku, i otoczyli go z bagnetami w pierś wymierzonymi. Zarembecki otoczony i odosobniony powalił z rewolweru kilku, a gdy na miejsce ubitych nowi Moskale, jak natrętne muchy, wystąpili i w końcu konia pod nim zakłuto, Zarembecki rzucając rewolwer chwycił za pałasz i tym zaczął odbijać skierowane ku niemu bagnety. Nadomiar tak trudnego położenia, sołdaci bagnetem odcinają klingę Zarembeckiemu od rękojeści i musi się on zasłaniać gołemi rękami przed natarczywem uderzeniem rozjuszonych żołdaków. W ten sposób niemógł się długo bronić. Osłabiony krwi utratą, sączącej się z ran licznych, padł na ziemię, bez oznak życia. W tej chwili koledzy wyłamują bramę i wszczyna się na nowo bój ręczny. Moskale ustępują chroniąc się do budynku, zostawiając w rękach Polaków Zarembeckiego prawie już nieżywego.

Wysłane straże Eljaszewicza dają znać jednocześnie, że Moskale pokazują się w niewielkiej odległości, nie było więc czasu rozprawiać się dalej z zatarasowanymi Moskalami, zabrano rannych i podpaliwszy ze wszystkich stron pocztę z sołdatami, odstąpiono od jej oblężenia.

Eljaszewicz ciągnął teraz pospiesznie ku Miszyszysze dla odszukania Celińskiego, i jak już powyżej nadmieniono, znalazł go w chwili bardzo przykrej a obecnie w skutek wiadomości o Moskalach jeszcze krytyczniejszej.

Celińskiego oddział z partyą Eljaszewicza wynosił zaledwie stu kilkunastu ludzi. Wezwał więc Celiński Eljaszewicza, Pankowskiego i Raynera, aby ci z nim wspólnie ułożyli co robić i w którą stronę rzucić się z towarzyszami. Zgodzili się wszyscy na to, że iść naprzeciw Moskali nie doczekawszy się Szaramowicza, byłoby oczywistą zgubą obydwu rozdzielonych oddziałów, że potrzeba zatem wrócić się do Miszyszychy i i tam Szaramowicza wyglądając, zrobić zarazem pewne przygotowania do przyjęcia otwartego boju z Moskalami. Tak postanowiwszy, udali się natychmiast w drogę i późno w nocy przybyli do Miszyszychy.

Ze świtem następnego dnia (24. czerwca) rozstawione straże ujrzały szpice Szaramowicza, występujące jakby z mgły od strony południa. Jak zwykle w razach ostatecznych widok swoich, napoił otuchą zwątpionych! Przypuszczano, że Szaramowicz mając ze sobą przynajmniej kilkuset ludzi, rozstrzygnie losy na korzyść powstańców; ale jakież było rozczarowanie, gdy w miejsce spodziewanej liczby przybyło zaledwie 150 i to nadzwyczaj źle w broń zaopatrzonych! Obydwa to oddziały złączone w jednę całość obejmowały zaledwie 260 powstańców.

Po rozpatrzenia się w swych siłach. Celiński wręcz oświadczył, że ponieważ siły powstańcze są tak słabe, nie podobna myśleć o pomyślnem rozstrzygnięciu walki, że więc nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się napowrót do Kułtuku, który jeszcze nie jest zajęty przez Moskali, i zdążać jak najspieszniej do granicy chińskiej, odległej tylko o parę wiorst zanim Moskale poruszą siły kozaków na południu. Istotnie w ostate-

czności, w jakiej się powstańcy znajdowali, był te jedyny sposób ratunku. Nie można było żądać ani wymagać od Opatrzności powodzeń wojennych, ale po prostu na wzór pułkownika Różyckiego w 1863 r. na Wołyniu, tak jak on przeprowadzić powstańców na obce terytoryum.

Przedstawieniom Celińskiego stanowczo sprzeciwili się Szaramowicz, Pankowski i Eljaszewicz. Opierali się oni dla tego, że Moskale prawdopodobnie już i na południu Bajkału zarządzić musieli środki ostrożności i posuwając się ku Kułtukowi, można było również wpaść w ich ręce i być zmuszonym przyjąć bitwę w gorszych warunkach. Sądzili zatem, że lepiej było od razu stawić czoło Moskalom i popróbować szczęścia, a możeby się jeszcze udało więcej katorżnych więzień rozbić i ze zwiększoną siłą skierować się do granic chińskich, albo stosownie do okoliczności inaczej pokierować ruchem powstańczym.

Rzecz jasna, że w tej ważnej chwili, gdy nie mogło być zgody między przewodniczącymi, i gdy Celiński upadł ze wnioskiem, nazwanym przez Szaramowicza *ucieczką z pola bitwy*, musiał tenże uczuć się boleśnie dotkniętym i zrzekł się dowództwa.

Od tej chwili Celiński nie mięszając się do dalszych planów, nie odłączał się jednakże od oddziału, który nie wiedział nawet o zajściach między kierującymi, jak również nie wiedział, kto głównie dowodzi: czy Celiński, czy Szaramowicz. Byłto błąd straszliwy, bo wprowadzał podkomendnych w obałamucenie, które tylko na szkodę całości wpływać mogło. Szaramowicz zostawiwszy odtąd Celińskiego na uboczu, zajął się przeprowadzeniem porządku i ładu wojskowego w oddziale. Sformował 5 plutonów, każdy po 50 ludzi. Pierwszemu i drugiemu plutonowi rozdano karabiny i konie, dowództwo ich otrzymali Eljaszewicz i Kotkowski. Z reszty powstańców, utworzył Szaramowicz trzy plutony *piesze* pod dowództwem Pankowskiego, Kwiatkowskiego, i Kiedrońskiego. Piesze plutony nadzwyczaj licho były uzbrojone; miały one po większej części drążki z osadzonemi żelazami na kształt pik, kosy i nie wiele karabinów, a zresztą tylko strzelby buryackie, które aczkolwiek mają lufy gwintowane, są jednakże istną ironią zwykłych strzelb najprostszej konstrukcyi.

Każdy pluton sformowany, wyruszał zaraz ku Pussolskowi; przyczem pierwszy pluton otrzymał rozkaz w razie natrafienia na Moskali nie cofać się, lecz na miejscu oczekiwać stopniowego nadejścia następnych plutonów i dalszych wyraźnych rozkazów Szaramowicza.

Gdy ostatnie plutony opuszczały Miszyszychę, niebo dotąd pogodne, naraz powlekło się czarnemi chmurami zaciemniającemi widokrąg do koła. Burza zerwała się straszliwa. Wody Bajkału spienionemi bałwanami nabrzmiewać poczęły, zdawało się, że natura dzika wzburzona, postanowiła przygotować tło odpowiedniej ponurości, dla scen mających się niezadługo rozegrać! Grzmoty przeraźliwie rozbijały się echami po iglasto sterczących skałach, a błyskawice z piorunami wśród ulewnego deszczu stanowiły ogniste ramy tego strasznego obrazu!

(C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom czwarty.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ I.

— Czy będziesz mi pan pomagać? spytał znowu Hall.

— Naturalnie, odrzekł Gabryel, jeżeli pan życzysz sobie tego. Ale nienarażaj się pan zbytecznie dla mnie. Doprawdy, że to mnie nie wiele obchodzi... być może, iż tak samo byłoby wszystko w porządku, gdybyś pan mię wydał tym ludziom; sądzę żem już narobił panu mnóstwo przykrości... teraz znowu będziesz pan miał kłopot z moją osobą.. Wszakże jeżeli pan czujesz się w obowiązku bronienia mnie i ochraniania, ponieważ przyrzekłeś to sędziom i przysięgłym, w takim razie trzymam z panem.

Podniósł się powoli i ze spokojem, ale zarazem i z potężną siłą przysunął ławkę, na której siedział ku ścianie: przygotowywał pole do walki.

Teraz po krzykach i wołaniach, nastąpiła złowroga cisza. Szeryf podszedł ku jednemu oknu w sali i otworzył je. Oblężeni i oblegający zmierzyli się wzrokiem.

Potem nastąpiły dzikie hałasy i szturmowanie do drzwi... strzał z pistoletu... i okno wyleciało.

Hall więźnia swego przeniósł do sali sądowej na drugiem piętrze, do której przystęp przez okno nie był możebnym, otrzymywała bowiem światło przez otwór w dachu, a potężne jej drzwi zabarykadowane zostały ławkami i biórkami. Małe łatwo mogące być zabezpieczonemi drzwi boczne, pozostały otworem dla robienia rekonesansów. Dostęp do sali możebnym był tylko przez wązkie schody, na które Gabryel zsunął potężny sądowy stół w rodzaju barykady. Dolne drzwi, których obroną zajął się sam szeryf, poczęły wkrótce ustępować pod gwałtownym naciskiem z zewnątrz; szeryf cofnął się do drzwi bocznych i skinął na Gabryela by szedł za nim. Ale ten nagle skoczył naprzód i wpadł pod stół, właśnie gdy drzwi wyskakiwały z zawiasów.

Nastąpiło dzikie tupanie i straszliwe wrzaski z powodu przeszkody, jaką dla wejścia na schody ogromny stół przedstawiał, wreszcie gramolenie się na niego. Wtedy stół ten, jakby własnowolnie podniósł się na jednym końcu w górę, kołysał się przez chwilę i runął z całą masą znajdujących się na nim ludzi nadół. Dzikie wycie rozległo się na ulicy. A Samson podniosłszy się poszedł powoli ku bocznym drzwiom.

Ale w tejże chwili jeden ze zwinniejszych oblegających, który niepostrzeżenie przekroczył Rubikon, wyskoczył z ukrycia i wpadł za Gabryelem. Krzyk gniewu wyrwał się z ust szeryfa, drzwi zostały szybko przymknięte, rozległ się strzał — i intruz padł. Zaraz jednak w następnej chwili podniósł się na kolana i zawołał wyciągając ręce:

— Stójcie! Przybyłem tu by wam pomódz!

Był to Jack Hamlin! dziko wyglądający, okryty kurzawą, brudny. Odzież jego była zabłocona, kapelusz pomięty, koszula podarta; oczy i usta rozpalone, krew z rany od strzału sączyła się z nogi. Powodowani wspólnym instyktem szeryf i Gabryel odłożywszy nabok broń, podbiegli ku niemu i podnieśli go.

— Tak!... podsuńcie mi tu krzesło, teraz dobrze! rzekł z zimną krwią... Słuchajcie!... jedna tylko jest droga do ucieczki!... tam ona, na górze!... (wskazał na otwór w dachu). Tylna ściana przytyka do ogrodu. Wydostawszy się na dach możecie spuścić się po sznurze, który musicie mi odwiązać od ciała, bo niech mnie djabli porwą jeżeli sam zdołam to uczynić. Czy możecie dostać się do otworu?

— W galeryi znajduje się drabina, zawołał szeryf radośnie; ale gdy nas zobaczą?

— Nim obejdą dokoła, już będziecie o jakie pół mili w lesie. Ale czegoż, u licha, czekacie? Idźcie! Niema ani chwili do stracenia, gdyż jak tylko przyjdzie im na myśl otwór w dachu i sprowadzą drabiny, będzie po was. Idźcie! prędko!

Tu znowu dały się słyszeć hałasy i tupania na schodach. Tłum parł ku drzwiom. Gabryel nachylił się, rannego człowieka wziął na ręce, jak gdyby ten był małem dziecięciem i skinął na szeryfa zwróconego ku galeryi. Ale nie zrobił jeszcze dwóch kroków, gdy zachwiał się i upadł na Halla, który ze swojej strony pochwycił się za okno. W tej samej chwili hałas wzmógł się jeszcze; nie tylko drzwi, ale i okna trzeszczeć poczęły; wielki świecznik spadł z trzaskiem odrywając część tynku i gzymsu; przez otwory wleciał grad cegieł — i straszny wrzask rozległ się zewnątrz. Potem w sali nastała pauza, a następnie tupanie i bieganie w dół po schodach. Potem znowu wszystko ucichło. Trzej mężczyźni, wybladli, spojrzeli po sobie.

— Trzęsienie ziemi, rzekł szeryf.

— Tem lepiej! zawołał Jack, — mamy czas! ruszajcie naprzód!

Doszli do galeryi i małej drabiny wiodącej ku otworowi w dachu; naprzód szedł Gabryel ze swoim ciężarem i pierwszy wydostał się na dach z Hamlinem na plecach. Ale gdy tam się znalazł znowu gmach cały zadrżał i otwór gwałtownie zatrzasnął się za nim. Gabryel złożył swój ciężar by otworzyć drzwiczki dla szeryfa. Ku wielkiemu jednak jego przerażeniu drzwiczki te oparły się najsilniejszemu parciu: zamurowały się i Joe Hal znalazł się więźniem.

Teraz przyszła na Gabryela kolej zawahać się i spojrzeć na swego towarzysza. Jack spoglądał nadół na ulicę. Potem podniósł oczy w górę i zawołał:

— Teraz musimy wynosić się... bo... bo... przystawili drabinę!

Gabryel znowu zerwał się na nogi i podniósł ranionego. Dach miał słabą pochyłość; w środku na postumencie stał grubo z drzewa wyciosany posąg Sprawiedliwości, wysoki na piętnaście stóp. Gabryel podszedł ku niemu, gdy z ulicy ozwał się szyderczy śmiech, oznajmiający mu, że został dostrzeżony. Rozległy się strzały, jedna kula ugodziła w ramię bóstwa, a druga z okrutną ironią wstrząsnęła równowagę szali.

— Odwiń zemnie szal, zawołał Hamlin.

Gabryel uczynił to.

— Okręć jeden koniec do koła komina, lub posągu.

Ale komin wywrócił się wskutek trzęsienia ziemi i posąg chwiał się na piedestalu. Gabryel przymocował linę do żelaznego wiązania dachu. Ale nie dosięgła ziemi tak, by raniony człowiek mógł spuścić się po niej!.. Gabryel znowu przyczołgał się do Hamlina.

— Pan musisz pierwszy zsunąć się, powiedział spokojnie; ja będę trzymał linę na dachu. Możesz pan powierzyć się mnie.

Nie czekając na odpowiedź Hamlina obwinął mu linę dokoła ramion i to niosąc, to wlokąc dociągnął do krawędzi. Potem spuścił bez szwanku na ziemię. Wyciągnął linę powtórnie by ją umocować przy żelaznem wiązaniu, gdy w tem coś powolnie wysunęło się ponad dach. Był to koniec drabiny.

„Trzy głosy“ po drabinie gramoliły się na dach. Ale wtedy posąg Sprawiedliwości jakby przebudził się, nachylił się ku nim, miecz swój wyciągnął i potrząsnął szalą... potem runął, zepchnął znajdujących się na drabinie i „trzy głosy“ zamilkły na wieki.

A z poza postumentu wyskoczył Gabryel, zadyszany, blady, lecz tryumfujący.

ROZDZIAŁ II.

In tenebris servare fidem.

Gabryel, z krótkiej liny zeskoczył na ziemię nie poniosłszy żadnego szwanku. Na szczęście dla uciekających, upadek posągu powstrzymał na chwilę natarczywość oblegających.

Gabryel znowu wziął na ręce swego na pół omdlałego sprzymierzeńca i zapuściwszy się w las w pół godziny znalazł się po za obrębem One horse Gulch, gdzie znajdowały się znane mu otwory tunelów. Dzięki szczęśliwemu trafowi pierwszy z nich zawalony był do połowy odłamami skał, spadłemi z pobliskiego wzgórza wskutek trzęsienia ziemi. Uspokojony tem, że żadne oko nie wykryje tego otworu, wsunął się tam Gabryel z omdlałym swoim ciężarem.

A był wielki czas potemu. Strata bowiem krwi, płynącej z rany Hamlina, była tak znaczną, że gentleman ten zwisnął i zesztywniał.

Gabryel rozebrał go, zatamował krew i przewiązał ranę tak zręcznie i ostrożnie, że chory przy tem ani drgnął.

Nieświadomy zwyczajów tej klasy społecznej, do której Jack Hamlin należał, spoglądał on trwożliwym wzrokiem na cienką bieliznę tego gentlemana. A chcąc przysłuchać się słabym uderzeniom jego serca, rozpiął mu koszulę i odsunął na bok delikatnie cienki złoty łańcuszek, na którym wisiało kilka relikwij i pamiątek, które ten urwisz na sercu nosił. Ale w ich liczbie znajdował się jeden otwarty medaljon z fotografią, na którą nie mógł oprzeć się by nie spojrzeć — i dech mu ustał w piersiach. Medalion przedstawiał najwyraźniej rysy siostry jego Gracyi, ale szczególnej cery. Przesądny strach go opanował. Raz jeszcze spojrzał na wizerunek, a potem na bezprzytomnie leżącego człowieka, jakby chciał wejrzeć w jego przeszłość.

— Nie! powiedział w końcu cicho i z rezygnacyą, to sprzeciwia się rozsądkowi! Ona go nigdy nie znała; to znowu głupie dziwactwo. Ta tu — to inna dziewczyna, Gabie, która wcale ciebie nie dotyczy. Fe! Wdzierasz się w tajemnicę człowieka i ciągniesz korzyści ze stanu w jakim się on znajduje!

Szybko położył medalion na piersiach swego towarzysza i zapiął mu kołnierz od koszuli. Jacka usta poruszyły się.

— Czy umarłem i jestem pogrzebany? zapytał, oglądając się po pieczarze, cóż to się stało?

— Jeżeli pan pozwolisz mi mówić, a sam nie będziesz unosić się — rzekł Gabryel — to opowiem panu. Rzecz tak się ma: pan musisz mieć lekarza nim rana się zagoi; a ponieważ niemożna go tu sprowadzić, więc ja pana do niego zaniosę. Teraz niech się pan nie zapala, a tylko słucha co mu powiem. Zamierzam pójść do tych łotrów, którzy upędzają się za nami i powiedzieć im: „Posłuchajcie! możecie mnie przytrzymać, jeżeli nie zrobicie nic złego memu przyjacielowi i poszlecie mu doktora, by go zabrał z tunelu... Bo czyż nie pojmujesz pan, że oni panu nic dowieść nie mogą...

Pomimo dolegliwego bolu i niebezpieczeństwa, w jakiem się Hamlin znajdował, ta propozycya bardzo rozweseliła go.

— Dziękuję panu, odrzekł z uśmiechem, ale ponieważ jednocześnie wydano rozkaz aresztowania mnie za kradziesz konia, to sądzę, iż najlepiej będzie gdy zostanę pod opieką pana. Przebaczyliby oni prędzej to żeś uśmiercił Meksykanina niezbyt wielkiej wartości, aniżeli to, że przejechałem się na koniu ich dowódcy, a przytem okaleczyłem go. Nie, panie!.. Zapóźno przybyłem z Olly do Wingdam. Musiałem konia i powóz wymieniać na klacz, nie mając czasu do porozumienia się z właścicielem.

— Gdybym mógł pokrzepić czem pana — przerwał Gabryel żałośnie — parę kropel wódki, lub coś podobnego...

— Nie pijam mocnych trunków bez pozwolenia mego lekarza — odpowiedział Jack z powagą — to rozjątrza!... Ja muszę wystrzegaś się wszelkiego wzruszenia. Coś uspokajającego, zniewalającego do siedzenia, coś w rodzaju tego — dodał wskazując na swą nogę — to mi dobrze robi.

— Sądzę, że będziemy musieli zatrzymać się tu dopoki się nie ściemni — powiedział Gabryel — a potem rowami dosuniemy się do Conroy Hill.

— Dobrze — mruknął Hamlin westchnąwszy — zgadzam się na to... partya może być rozegrana w każdem miejscu... Ale — dodał zniecierpliwiony, gdy Gabryel usiadł koło niego urządziwszy mu proste łoże z suchych liści, czy pan chcesz zanudzić mnie na śmierć?... siedzisz jak sowa?... Dlaczego nic nie mówisz?

— Mówić?... co?... zapytał Gabryel w prostocie ducha.

— No, cokolwiek... kłam jeżeli chcesz — to mi wszystko jedno... tylko mów.

— Chciałbym panu zadać jedno pytanie, panie Hamlin — rzekł Gabryel z wielką szczerością — zgóry jednak dodaję, że naturalnie możesz mi pan odpowiedzieć lub nie... jak tam się panu spodoba. Gdy niedawno byłeś pan zupełnie bezprzytomnym, rozpiąłem mu koszulę i dostrzegłem na szyi pana portret... Nie wypada mi zapytywać kto to jest; jedno tylko chciałbym wiedzieć, czy ta... ta... ta panna rzeczywiście ma tak ciemną cerę jak tam na portrecie wymalowano?

— Jeszcze — odrzekł Hamlin — ciemniejszą! O! portret jest nierównie bledszy.

Twarz Gabryela wyraziła widoczne rozczarowanie. Hamlin ciągnął dalej:

— Tak, panie!... ale najbielsza ze wszystkich białych pomiędzy kobietami pod względem piękności, nie godna jest wody jej podać. Niemasz żadnego anioła, któremu nie mogłaby dać niewiem ile punktów for i któregoby w końcu do remizu nie doprowadziła!... Ten portret — dodał wyjmując go i starannie chustką ocierając — zaledwie w części oddaje jej sprawiedliwość!.. Ale — dlaczego pan o tem mówisz? co?

— Wydało mi się, iż jest nieco podobną do mojej siostry — odrzekł Gabryel potulnie. — Pan jej nie znałeś, panie Hamlin? Znikła od roku 1849... tyle tylko mogę o niej powiedzieć.

Hamlin spojrzał na niego z lekceważeniem.

— Siostra? powtórzył — a toby szczególna była siostra takiego człowieka jak pan!... jak się panu zdaje?.. Ależ popatrz pan tylko! — mruknął podsuwając medaljon pod sam nos Gabryela — czyż pan nie widzisz... to dama!

— Niech pan o mojej Gracyi nie wnioskuje z mojej postaci, ani nawet z postaci Olly — szepnął Gabryel skromnie.

Ale Jack nie uspokoił się tem.

— Czy siostra pana — ciągnął dalej — śpiewa tak jak anioł?... czy mówi po hiszpańsku jak gubernator Alvarado? czy jest spokrewniona z najstarszemi hiszpańskiemi rodzinami miasta? czy posiada rancho mające czterdzieści kwadratowych mil obszaru? czy nosi imię Dolores Salvatiera? czy cera jej jest taką, że każda inna kobieta wydaje się przy niej jak kreda? co?

— Nie, odrzekł Gabryel z westchnieniem — było to niezawodnie głupie moje urojenie, panie Hamlin; ale gdym spojrzał na portret to mi się wydało..

— Żem go ukradł — przerwał Hamlin z całą swobodą — widziałem go w jej parlor na stole i zabrałem gdy nikt nie uważał. O, Boże! onaby mi go nigdy nie dała! Sądzę, że kradzież konia jest w porównaniu z tem drobnostką.

Potem opowiedział ze wszelką swobodą i niewymuszeniem o swem pierwszem i jedynem spotkaniu z donną Dolores.

— Możesz pan z tego wnosić — ciągnął dalej — ile jestem wdzięczny temu Johnny Ramirez i jak zająłem się panem, dowiedziawszy się, żeś go uśmiercił. Ale teraz niech pan zagrywa!... powiedz mi pan wszystko co wiesz o tej sprawie. Ludzie przypuszczają, że on się przyczepił do żony pana... i dlatego według zasługi i jak należy wyprawiłeś go na tamten świat!... No, zadawaj pan!... widzisz że czekam... tym sposobem wytrzymam ból, który zmusi mnie do krzyku, jeżeli myśli moich nie zwrócę w inną stronę.

Ale twarz Gabryela spoważniała i usta pozostawały nieme, gdy nachylił się nad Hamlinem by mu poprawić bandaże.

— Zaczynaj pan! zawołał Jack cierpko — bo w przeciwnym razie pozrywam te szmaty i spłynę krwią w jego oczach! Czego się pan obawiasz? O żonie pana wiem wszystko... o niej nie masz mi pan nic nowego do powiedzenia. Miałem ja ją już w Sacramento na oku... nim wyszła za pana zamąż... gdy tego samego Chilijczyka, tego Ramireza za nos wodziła, tak jak następnie pana. Nie będziesz zatem takim zatwardziałym głupcem byś się na niego oglądał... co?

I Jack podniósł się na łokciach w górę, by lepiej się przypatrzeć temu niepospolitemu idiocie.

— Pan mówisz o tym Meksykaninie, o tym Ramirezie – rzekł Gabryel po chwili utkwiwszy swe jasne oczy w pytającego.

— Rozumie się! krzyknął Jack zniecierpliwiony.

— Ja go nie zabiłem — odrzekł Gabryel spokojnie.

— Naturalnie, że nie — zawołał Jack prędko — on się potknął i sam wpadł na nóż pana, podczas gdyś nim sobie dłubał w zębach... Ale mów

pan dalej... jak to pan rozpoczął?... gdzieś go spotkał?... czy bronił się? czy miał trochę odwagi?

— Mówię panu, że go nie zabiłem.

— Więc któż to uczynił? krzyknął Jack, drażniony bolem i niecierpliwością.

— Niewiem... sądzę... to jest... — I Gabryel zatrzymał się utkwiwszy wzrok z wyrazem pomięszania w swego towarzysza.

— Może, panie Gabryelu Conroy — powiedział Jack, nagle uspokoiwszy się i starannie ważąc swe słowa, może będzie pan tak dobry i zechce mi objaśnić, jaką właściwie jest gra pana? Może pan będzie łaskaw dać mi wyjaśnienie dlaczego ja tu leżę okulawiony? co pana tam do tego trybunalskiego dumu sprowadziło? dlaczego ukrywasz się pan tu w tym przeklętym grobie familijnym?... A jeżeli panu stanie na to czasu, to może powiesz mi pan także, jaki powód był tej małej wycieczki do Sacramento? Ja wprawdzie potrzebowałem ruchu, a przytem miałem zaszczyt być przedstawionym małej jego siostrzyczce... ale może mi pan wyjaśni dla czego to wszystko robiło się?

— Jack — odrzekł Gabryel, nachyliwszy się, podczas gdy go znowu opanowało zwykłe pomięszanie — ja sądziłem, że ona to uczyniła, i w szale, jak oni mnie zapytywali, wziąłem to na siebie! Nie sądziłem, że pana w to zawikłam... sądziłem... zdawało mi się... że... że to wszystko jedno będzie... gdy oni mnie powieszą... ja tak sądziłem, Jack, na honor.

— I pan nie zabiłeś Ramireza?

— Nie.

— I pan mniemasz, że uczyniła to jego żona? i rzecz tę wziąłeś na siebie?

— Wziąłem.

Hamlin obrócił się nabok i począł nucić:

„Gdy nadchodzi wiosna,
„Ta pora radosna...“

Temi tylko wyrazami określił on uczucie niezadowolenia jakiem był przejęty.

Gabryel wsunął powoli swą rękę pod plecy Hamlina i niby poprawiając coś podniósł go w górę jak bezwłasnowolne dziecko.

— Jack — powiedział ponuro — jezeli portret, który pan masz... jeżeli ta panna o ciemnej cerze... gdyby pan i ona pobraliście się, a pan przypadkiem odkrył, że ona go za nos wodzi... ale więcej — dodał pospiesznie — więcej z powodu własnej pana głupoty, aniżeli z jakiej takiej przebiegłości... a ta kobieta miała tajemnicę do ukrywania — i gdyby ta kobieta, tylko przyprowadzona do ostateczności przez człowieka, tajemnicę tę znającego, sprzątnęła go... tobyś pan tej kobiety... biednej pięknej istoty... nie naraził z tego powodu na cierpienia! nie, Jack, prędzej sam wyciągnąłbyś nogi, a nie uczynił tego. Na coś podobnego nie zdobyłbyś się pan... i ja również .. tak mi Boże dopomóż!

— Wszystko to jest bardzo wzruszające, panie Conroy, i zaszczyt mu przynosi... czuję prawie jak mi podczas mowy panna kula Halla z nogi wytacza się — dodał Jack, podczas gdy czarne jego oczy zwróciły się ku wejściu do tunelu — która godzina, ty przeklęty dziwaku? czy jeszcze nie dość ściemniało, aby można było wyjść z tej dziury? (Jęknął i po krótkiej chwili dodał). Skąd pan wiesz, że żona jego uczyniła to?

Gabryel opowiedział prędko i ze zwięzłością, której zaledwie można było spodziewać się po nim, wypadki owego dnia, od spotkania się z Ramirezem rano, aż do chwili gdy udając się na schadzkę jakiej żona od niego na piśmie zażądała, napotkał trup Ramireza.

Raz tylko Jack przerwał mu krótko by zapytać dlaczego odkrywszy morderstwo, nie poszedł na schadzkę, której żona żądała.

— Sądziłem, że to już nie potrzebne — odpowiedział Gabryel ze zwykłą swą prostotą.

Hamlin stęknął.

— Gdybyś był poszedł — powiedział — to spotkałbyś ją w towarzystwie tego człowieka, który morderstwo popełnił, o ty! głupi dzieciaku!

— Jakiego człowieka? zapytał Gabryel.

— Pierwszego człowieka, którego zrana widziałeś u swojej żony.

— Nie chcesz przecie powiedzieć pan tem, że nie ona to uczyniła? zapytał Gabryel zdziwiony.

— Owszem, to chcę powiedzieć, odrzekł Hamlin zimno.

— W takim razie jaki cel miała ta jej kartka? zapytał Gabryel, nagle twarz zmieniając.

— Niewiem, odrzekł Jack — ale ponieważ pan jesteś takim zapiekłym osłem, to nawet bardzo być może żeś nie przeczytał jej jak należy. Dajno mi pan ją tu, pokaż.

Gabryel: (z wahaniem). Nie mogę.

Hamlin: Nie możesz pan?

Gabryel: (uniewinniając się). Ja ją... podarłem.

Hamlin: (z największem zdumieniem po długiem milczeniu): Czy byłeś kiedy z powodu szaleństwa pod lekarską obserwacyą?

Gabryel (z wielką szczerością i pokorą): Ludzie zawsze mówili, że jestem cokolwiek dziwakiem.

Hamlin (znowu po pauzie): Czy Piotr Dumphy ma co przeciw panu?

Gabryel (zdumiony): Nie.

Hamlin (znudzony): Człowiek, który komitet bezpieczeństwa naprowadził na ślad pana, to jego prawa ręka, to jego ajent w Wingdam. Słyszałem go i widziałem jak tłum podburzał.

Gabryel (z prostotą): Sądzę, że pan mylisz się; Dumphy jest moim przyjacielem. On pierwszy dał mi pieniądze dla eksplotowania kopalni; ja jestem jego technikiem.

Jack, któremu rana niewymowny ból sprawiała i który w czasie przerw w rozmowie zupełnie prawie tracił siły, umilkł i zachował się spokojnie.

Powoli zamierało słabe światło przedzierające się przez gałęzie do tunelu i wilgotne cmentarne zimno, przejmowało obu zbiegów. Gabryel poczołgał się więc ku otworowi. Gwar ustał w odległości: słońce poczynało zachodzić.

Wszystkiego był przy otworze zaledwie pięć minut. Ale gdy powrócił na miejsce gdzie zostawił Jacka — nieznalazł nikogo. Jack znikł.

(C. d. n.)

W OCZEKIWANIU JUTRA.

I.

Są szczęśliwi — co mogą witać jutro świata
Upojeniem rozkoszy, okrzykiem wesela,
Pewni, że przyszłość w dary najświętsze bogata,
Anielskim chlebem życia ludy poobdziela.

Lecz my — których dzień każdy do ziemi przygniata,
I głębiej wbija w piersi nóż nieprzyjaciela,
Nie możemy z ufnością patrzeć w przyszłe lata,
Ni sławić nowej ery piosenką minstrela.

My patrzymy z niewiarą na świetne zdobycze,
O których upojone dziś narody marzą —
I nie spieszymy blaski podziwiać zwodnicze,

Co krwawemi łunami nasze oczy rażą —
Lecz ku przeszłości swojej odwróceni twarzą
Czekamy — co przyniesie jutro tajemnicze...

II.

Dość długo grywaliśmy tu na świata scenie
Rolę Danaid — smutną robotą zajęci,
W bezdenną otchłań lejąc krwi swojej strumienie
Topiąc w niej wszystkie myśli, uczynki i chęci.

Teraz już nam nie wolno po tak strasznej cenie
Kupować chwili złudzeń, co bezsilnych nęci;
Dziś nam nie wolno rwać się na oślep w płomienie,
By dźwięk imienia ludzkiej przekazać pamięci.

Dziś naszym obowiązkiem — trwać w milczeniu głuchem,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem, lub ruchem;

Dziś tylko — wolno naprzód posuwać się duchem,
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy!

III.

Ciężko! trwać tak zgnębionym wśród zwycięzców wrzawy,
Gdy teraźniejszość dalej kroczy wciąż wyniosła;
Ciężko! nie mieć na ziemi dla ducha podstawy,
I patrzeć jak nas ludzkość o głowę przerosła.

Ciężko w niepewną przyszłość płynąć jak cień krwawy,
Na wrzącej fali zdarzeń bez steru i wiosła,
Nic nie uronić z skarbca świętości i sławy,
I czuwać by nas rozpacz w odmęt nie uniosła.

Jednak trzeba zagadkę rozwiązać sfinksową,
Zgodzić sprzeczne warunki życia, co z zwaliska
Wschodzi i na dzień jasny przez grób się przeciska;

Trzeba z cieniu i pleśni dobyć myśl dziejową,
I ze światem żyjących pojednać na nowo,
W imię świtu wolności, co dla wszystkich błyska!

El...y.

Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XX.

(Ciąg dalszy.)

Osatnie dzieje władyctwa mohilewskiego. Koniski, autor historyi Russów. Propaganda mordów. Pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej. Część unii zagrabiona przez Moskwę i skazana na śmierć powolną.

Ostatnim władyką schizmatyckim polskim w Mohilewie był Sylwester Czetwertyński, potomek dawnych wołyńskich kniaziów, takiż sam zdrajca, jak Gedeon. Gedeon tę miał przynajmniej naprzeciw Sylwestra obronę, że zostawszy metropolitą w Kijowie, sam dobrowolnie przeszedł pod panowanie moskiewskie i umarł dla ojczyzny, dla Rusi, to jest wynarodowił się, na obcą ziemię przeniósł swoje bogi domowe. Ale Sylwester został w ojczyźnie, na Rusi, dla tego żeby ją zdradzał. Ojciec jego, stryj, brat rodzony, synowcowie, wszystko to już byli katolicy łacińscy. Sylwester jeden uparł się przy schizmie, a był to człowiek namiętny, niesłychanie chciwy władzy i znaczenia, i ztąd gotów służyć za narzędzie pierwszemu lepszemu, aby tylko celu swego dopiąć*). Nikczemność wcielona, zaczął służyć Piotrowi. Wyświęcił się za granicą, to

*) Encyklopedya powszechna VI. 545.

jest w Moskwie, na władykę mohilewskiego, a był takim sposobem pierwszym w Rzeczypospolitej polskiej władyką, z ramienia moskiewskiego, był narzędziem przenajświętszego synodu, arcydzieła Piotrowego. W lat kilka po wyświęceniu się przyjechał do Mohilewa w r. 1707, ale przekonał się, że nie ma tam co robić i w trzy miesiące powrócił do dziedzicznej włości swojej, na Wołyń. Schizma była już umarła. W monastyrach nawet igumeny mnichów swoich namawiali do unii. Dziesięć lat nie ma tam żadnego śladu życia schizmatyckiego. Był to czas wojny szwedzkiej i konfederacyi tarnogrodzkiej. Gdy zupełnie się uspokoiło w Rzeczypospolitej i carowi już nie wypadało samemu się rządzić w Polsce, przy jaśniejszem słońcu, tak, jak się rządził wtenczas, gdy Sylwestra kazał na władykę wyświęcić, innego chwycił się systematu. Począł się bawić w noty dyplomatyczne, do których powód dają mu komedye schizmatyckie, nakazywane i urządzane przez Sylwestra. Nagle schizmatycy białoruscy zaczynają podawać prośby za prośbami do cara, skarżą się na ucisk religijny. Cały przecież tak zwany ucisk był tem, że widzieli coraz mniej cerkwi swoich, które przechodziły na unią. Mogły być wprawdzie nadużycia siły, ale i w Polsce ówczesnej nadużyć tych nigdzie nie brakowało. W długim nierządzie wszystko wyszło z karbów, ze spojenia i jedno zawadzało o drugie. Stare to dzieje i bolesne wspomnienia. Kiedyś żołnierstwo, zwyczajnie jak żołnierstwo dokuczało Ukrainie; nie było lepsze i w koronnych dawnych ziemiach, na Litwie, kiedy przyszło na konfederacyach o żołd się upominać i po królewszczyznach gospodarować. W Ukrainie rycerstwo, szlachta, przewodziło nad nieszlachtą. Moskwa powiedziała, że to był umyślny ucisk ze strony polskiej wiary, nad narodowością ruską. Teraz jeżeli jaki gorliwy biskup, jeżeli dziedzic naglił parafian, zabierał cerkiew na unię, Moskwa krzyczała na systematyczny gwałt, znowu zadawany wierze i narodowości. Zbyt wielkie nadużycie siły być nie mogło, bo obok gorliwych katolików stawał zaraz cień moskiewskiej potęgi i straszył. W tem to zresztą nieszczęście nasze i temeśmy upadli, żeśmy zbyt wyłącznie byli szlachtą w pierwszym i drugim przypadku, żeśmy mało na lud zważali. Ale i tu nie widzielibyśmy winy, gdyby nie rozstrój powszechny Rzeczypospolitej: w skołatanem państwie wszystko się kołatało.

Król August musiał Czetwertyńskiego uznać za władykę w r. 1720. To nie nazywa się gwałtem, to owszem opieka wielkiego toleranta, nad sumieniami współwyznawców.

Odtąd skargi gorętsze, o byle co, krzyk w niebogłosy. Nie pomagają nic tłumaczenia się królewskie, pakta, prawo samo; baranek wciąż mącił wodę wilkowi. Ajentów dyplomatycznych Moskwy w Polsce się mnoży. Są tacy, którzy umyślnie siedzą dla szpiegowania kościoła i dla agitowania na korzyść obumarłej schizmy. Pieniądze moskiewskie zapalają tu i owdzie fałszywy entuzyazm, fałszywy mówimy, bo łatwo go było tym samym czynnikiem w inne strony skierować. Im podlejszy pop, tem prędzej w dostojność rośnie. Moskwa nasyła swoich popów na Białą Ruś, a miejscowych z Polski rodem, u siebie w nagrodę za gorliwą służbę podnosi na biskupstwa, osadza ich, nawet w synodzie petersburskim, co jest najwyższym szczytem szczęścia dla zakupionej ambicyi. System polityczny Piotra został teraz w całej sile swojej zastosowany do Polski. Bronią wiary Moskwa będzie zdobywała kraje.

Ta schizma niemoralna, co w nic nie wierzy, ubóstwia siłę materyalną i powodzenie, daje się więc wziąć za narzędzie, owszem sama się na narzędzie nastręcza, uprzedza myśli carskie. Wiedząc, że tem się zasłużą, zaczynają popy propagandę z pomocą Moskwy, siłą, namową, pieniędzmi i obietnicami pociągają ciemnych włościan do swoich cerkwi. Ofiary nikczemności, chłopi, tu i owdzie ulegli z obawy. Polsce nic nie wolno, bo nie ma siły. Car krzyczy na nietolerancyą naszą, a sam nawraca unitów na schizmę miłością, to jest batem. Nie ma nikt wyobrażenia kto akt dawnych nie czytał, kto się rzeczy nie przypatrywał z bliska, jaki tam nacisk religijno-polityczny wywierała Moskwa na Białej Rusi. Wojska carskie prawie nie wychodziły z pogranicznych ziem Litwy. Menszyków miał tam dobra, Pan Bóg sam wie jakim sposobem nabyte, otóż stały w nich zawsze na załodze wojska Jego carskiego Wieliczestwa, jak mówili Polacy. Kiedy car przywłaszczał tak sobie i ziemie i ludzi, Polska szalejąca w swawoli, nie widziała niebezpieczeństwa, nie widziała chociaż system czysto barbarzyński wykonywał się w niej przez połowę wieku XVIII.

Po śmierci Czetwertyńskiego, synod petersburski szle do Mohilewa Arseniego Berłę*). Synod nic się o to wcale nie troszczy, że schizma w Rzeczypospolitej podlega jeszcze patryarsze carogrodzkiemu, że sam Kijów i Zadnieprze tylko uznały pomimowolnie nad sobą władzę Moskwy. Synod lepiej apostołuje niż święci pańscy i tworzy to, czego oni nie mogli, kościoły, dogmata, prawo. Nie żył już wielki organizator i tolerant, car Piotr, wszelako systemat jego został dobrze obmyślony, na długie lata obrachowany. W pierwszej chwili po zgonie wielkiego męża, król polski miał nieco więcej odwagi i chociaż znowu pisano gęste noty, nie uznawał przez lat kilka Berły, kozaka zaporożskiego, który takim sposobem nie miał ani dyecezyi ani władzy. I synod władykę odesłał na Zadnieprze.

Dwaj jego następcy, Józef i Hieronim Wołczańscy ciągle skargi słali do synodu petersburskiego. Carowa Elżbieta żeby pokazać, jak umie wynagradzać cnotę schizmatycką i zasługi dla tronu, Józefa poddanego polskiego, wzięła na stolicę arcybiskupią do samej Moskwy.

Miał być sejm w Grodnie r. 1744; poseł moskiewski u dworu polskiego, Bestużew, otrzymał rozkaz od carowej, żeby się starał wszelkiemi siłami o sprawiedliwość dla schizmatyków, to się znaczy innemi słowy: że miał Bestużew sejm pobudzić do prześladowania unii, do odbierania jej cerkwi na korzyść schizmy, za lada pozorem i śladem, że kiedyś, co oczywiście łatwo było dowieść, schizmatyckiemi były, do podnoszenia wreszcie w Rzeczypospolitej nikczemnej tłuszczy popów, która zaprzysięgała wierność obcym, to jest cerkwi i synodowi petersburgskiemu. Sejm wprawdzie na niczem się skończył, lecz Bestużew wyrobił na radzie senatu komisyą śledczą do przejrzenia skarg schizmatyckich. Uzyskaną była ta komisya podstępnie, to jest według urzędowych formuł naszego prawa subreptitie ad malam informationem Cancellariae, oczywiście zuchwalstwem, intrygą, podejściem prawa, bez wiedzy sejmu; ale stało się, Bestużew otrzymał o co upominał się głośno.

Instrukcya nieoględna wielkie nadawała prawa komisarzom, większość prosta głosów mogła rozstrzygnąć w komisyi najważniejsze sprawy. Składali ją trzej biskupi łacińscy, według reskryptu królewskiego, prezes biskup płocki Antoni Dembowski, przemyślski Wacław Sierakowski, i koadjutor wileński Józef Sapieha, zresztą zasiadali w niej poseł i rezydent moskiewski, oraz kilku członków świeckich, którzy dla sprawy wiary dosyć obojętni byli. Potrzeba i to dodać, że komisyą tę głównie wymogli na królu Czartoryscy. Książęta ci chcieli reformować Polskę przez Moskwę, którą uważali przedwcześnie za swoje narzędzie. Dla tego pochlebiali jej i udawali przyjaciół, pozwalając na komisyą w przekonaniu, że sobie tem Moskwę ujmą i sądzili, że to sprawie przyszłej reformy nie zaszkodzi, jeżeli się jedną i drugą cerkiew unicką, za wyrokiem i śledztwem przysądzi schizmie. Nie rozumieli Czartoryscy charakteru narodowego tej walki, Moskwy nic a nic nie znali, ani historyi jej, ani teraźniejszości, nie przewidywali co Moskwa myśli, do czego dąży. Byli to poprostu filozofowie XVIII. wieku i nie wiele przykładali wagi do uczuć religijnych ludu. Zimni doktrynerowie robili doświadczenia in anima vili. W tem błąd ich był najokropniejszy, niewytłumaczony. Historya nigdy im tego nie odpuści, że Moskwy chcieli użyć za narzędzie. Carat nie da się nigdy słabszemu od siebie narodowi, nad którym chce panować, za narzędzie użyć, a cóż pojedynczym ludziom mniej jeszcze silnym niżli naród! Moskwa tylko do czasu służyć umie cudzym widokom, to jest dopóty, dopóki widzi, że ci, którzy za narzędzie ją mają, idą zgodnie z jej życzeniem; potem odrzuca Moskwa swoich kierowników, lub na odwrót sama ich za narzędzie używa, jeżeli widzi, że zdadzą się na co. Muszą wtedy iść za nią dumni ludzie na łasce chytrości, bo ma siłę po temu. Utaić się Moskwa umie; przybierze jaką zechce, wszelką postać niewinności i pokory.

Moskwa i teraz się ułożyła, żeby otrzymać komisyą od króla; chodziło jej niby o same drobiazgi. Ale kiedy uzyskała komisyą, już myślała wielki proces unii wytoczyć, zabierać cerkwie, które miały być kiedyś schizmatyckie, na korzyść Moskwy. Było to obalać cały kościół unicki w Polsce i poddawać go pod synod petersburski; było to zdobywać prowincye od Polski dla cara. Wyglądało to zupełnie tak samo, jak gdyby jaki teolog grecki odszczepiony niszczył cerkwie unickie nawet na Włodzimierzu, nawet w Chełmie, pod pozorem, że kiedyś, przed wieki oderwały się były choć na czas od jedności z Rzymem. Zasada ta dalekoby zawiodła. Logicznie rozumując, należałoby się do bałwochwalstwa powrócić, bo bałwochwalstwo jeszcze wprzódy tam było, niż kościół chrześciański.

Gdyby biskupi nasi w komisyi z r. 1744 byli słuchali instrukcyi, gdyby byli uważali więcej na politykę niż na prawo i wiarę, zgubiliby byli unią. Moskwa chciała zrobić coś w rodzaju sławnej redukcyi szwedzkiej w Inflantach. Trzej biskupi przepadliby byli śród interesowanej albo obojętnej większości. Namyślali się nawet długo nad tem, czy mają w niej miejsce przyjąć. Bo skoroby sprawa kościoła przepadła, siebie hańbili, narażali ojczyznę i wiarę. Dembowski dał się powodować Czartoryskim, Sierakowski się usuwał, jeden Sapieha, mąż rozumny, dobry katolik i Polak, czuwał nad biegiem sprawy. Podług więc obliczeń Sapiehy wypadało przeciągać

*) Tamże III, 238.

czas jak najwięcej, a nie otwierać komisyi. Pozór wynalazł dobry. Należało dać stronie unickiej czas do zebrania dowodów, gdyż schizma krzątała się niezmiernie, prowadziła śledztwo, ciągnęła zeznania. Szczęśliwie także wypadła śmierć metropolity unickiego i zaczęły się wielkie walki o zasady, ze strony duchowieństwa ruskiego w Rzymie o to, kto ma prawo obierać metropolitę, czy król sam, czy zakon Bazylianów. Metropolita naturalnie z urzędu zasiadaćby musiał jako strona w komisyi, a metropolity nie było. To powód, dla którego niebezpieczny zamach Moskwy spalił się na panewce. Komisya przeciągnęła się od r. 1744 do 1748; potem cała rzecz w niepamięć poszła.

Dokumenta do tej sprawy przeglądaliśmy; jest ich wiele. Gdybyśmy tylu innych dowodów podłości moskiewskiej nie posiadali, same te dokumenta dałyby nam miarę przewrotności, okrucieństwa i złej wiary Moskwy, jej synodów, popów i carów.

Po śmierci ostatniego Wołczańskiego chciał Papież od Rzplitej, żeby zniosła nawet imię władyctwa mohilewskiego, jako zupełnie już niepotrzebnego. Pisał o to breve do kanclerza Małachowskiego pod dniem 7go lutego 1755, ale propaganda moskiewska zmusiła króla, że władyką uznał Jerzego Koniskiego, rektora Akademii kijowskiej. W maju dostał on przywilej, w sierpniu r. 1755 w Kijowie został wyświęcony. Już nawet mowy nie było o patryarsze carogrodzkim, synod petersburgski władyce i jego owczarni rozkazywał. Dyzunici polscy stanowić zaczęli dyecezyą moskiewską. Bez wydobycia oręża, car od Rzeczypospolitej zawojował sobie poddanych. (C. d. n.)

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

Dziwimy się, jakim sposobem taki Schiller w dziewiętnastym roku życia mógł napisać „Zbójców;“ jakim sposobem mógł tak poznać serce ludzkie w demonicznych jego wybuchach, równie jak w anielskiej, idealnej miłości? Przez jaką cudowną władzę powieściopisarz, który nie był zbrodniarzem, który nawet nigdy nie widział spełniającej się zbrodni, umie jednak malować ją z tak uderzającą prawdą uczuć?.. Wszystko to tłomaczy nam psychologiczne współczucie: prawda! Powieściopisarz lub dramaturg nie doświadczał nigdy uczuć idącego na śmierć zbrodniarza, ale czuł żal i obawę, wstyd i niepokój, gdy nieraz dzieckiem jeszcze będąc, obciążony jakimś grzechem dziecinnym, stawał przed ojcem karzącym i gniewnym.. Nie był złodziejem — ale czuł jak mu serce silniej uderzało, gdy chciał komuś figla wypłatać. Nie był matką, której dziecię umiera z głodu, ale czuł boleść i smutek, gdy najmilsze jego dzieło zniesławił nieczuły krytyk...[1]) Jednem słowem zdolność odczuwania różnorodnych stanów duchowych na podstawie własnych przejść, może poecie otworzyć wrota do wszelkich tajemnic ducha, jeśli tylko ma serce i umie „patrzyć w serce.“ A nie jest to bynajmniej zdolność tak pospolita. Tysiące ludzi czują co im dolega, a nie czują, nie pojmują nawet tego, co dolega innym. Czuć i współczuć są to dwie rzeczy bardzo różne, choć jedna wypływa z drugiej. Ale i współczucie może być podwójne: tego o którem mówię, nie należy mięszać ze współczuciem moralnem, które pospolicie *litością* nazywamy. Inna rzecz jest współczuć czyjąś nędzę lub boleść poczuciem moralnem, które prowadzi do ofiary, do jałmużny, współubolewań, pociechy i t. p., a inna współczuć psychologicznie, przedmiotowo, dla samej potrzeby poznania. W tym razie poeta jest tylko psychologiem intuicyjnym, obojętnym termometrem cudzych uniesień. Dlatego to tak często w życiu doznajemy zawodu, gdy poznamy bliżej poetę, którego cudowne, rzewne, miłością ogółu natchnione pieśni zachwycały naszę duszę. Sądziliśmy, że i w człowieku tak jak w pismach znajdziemy to wylanie serdeczne, tę gotowość do usług, do współczucia przynajmniej, jaką nam pisma te przewidywać pozwalały — a tymczasem poznajemy człowieka dzikiego i szorstkiego, który nas odpycha lekceważącem i kapryśnem obejściem, który się zapala i unosi, ale tylko dla utworów swej fantazyi. I trzeba przyznać, że jest to niekiedy smutna konieczność. Przejrzyjmy życiorysy poetów, a przekonamy się, że trwała przyjaźń, że prawdziwa ofiarność i usłużność należy u nich do zjawisk bardzo rzadkich. Nawet miłość, ta najpotężniejsza serc spójnia, ulega u poetów powszechnym prawom głębokiej lecz ulotnej wrażliwości. To co nam poeci prawią o swej stałości, jest po większej części tylko ich własnem złudzeniem. Mickiewicz wzdychający wiecznie do swej Marylli kochał nie ją, lecz swoje własne marzenia. On jej właściwie nie znał wcale, a rozstawszy się wkrótce po zbliżeniu, kochał wciąż swój ideał, który pewno nie byłby tak ponętnym, gdyby mu nie był wydarty.

P. Piotr Chmielowski, usiłuje wprawdzie w pięknej swej pracy o kobietach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego podnieść rzeczywistość tego ideału, na podstawie teoretycznego dowodu, że „pospolita kobieta tak silnego uczucia wzbudzić nie mogła.“ Ale śmiem twierdzić, że nie jest to argument wystarczający, co więcej, wiem od osób, które ją znały z bliska, że była to kobieta, bardzo, ale to bardzo pospolita. Pamięci wielkiego poety nie uwłaczało to; serce jego miłością ideału przepełnione musiało patrzyć na świat oczyma własnych marzeń — i dało jeden dowód więcej, że zadaniem jego było tworzyć piękno i wzniosłość tam nawet, gdzie ich trzeźwe, chłodne oko nie dostrzega. Bez tej siły złudzeń nie byłoby twórczości poetyckiej.

Jeśli jednak Mickiewicz miałby jeszcze pewne prawo upomnieć się o uznanie swej stałości, to Słowacki uśmiech tylko wzbudza gdy pyta, czy „miał duszę powszedną, on, który przeszedłszy świat — *kochał jedną*“ — bo znamy przecież pokaźny poczet jego kochanek. Ale właściwie on miał słuszność — on kochał jednę — tylko że nie była nią nawet Ludwika Śniadecka, do której podobnie jak Mickiewicz do Marylli wracał zawsze myślą i sercem — choć ślubu bał się jak ognia — on kochał jednę ale nie istniejącą w rzeczywistości a obecną w jego duszy. Na ten ideał pozowały mu różne figurantki z mniejszem lub większem powodzeniem — a my dziś nie mamy serca gniewać się na niego za to, że uciekł n. p. od Maryi W., bo gdyby nie to, nie mielibyśmy najpyszniejszego poematu miłości poetycznej, który nosi tytuł „w Szwajcaryi“ i któremu równego żadna literatura nie posiada. Słusznie mówi p. Chmielowski że „Słowacki nie zachwyca się w nim ani pięknością ciała, ani pięknością duszy ubóstwianej kobiety. Zwraca tylko uwagę na zewnętrzne warunki, w których ona żyje.“ On ją kocha dla tego, że spotkał ją gdy był smutny, dlatego że „wyszła z tęczy i z potoku piany“, dlatego że „jasną była od promieni słońca“, że potem księżyc świecił, kaskada szumiała, słowiki spiewały, że czuć było woń jaśminu. Dla nas zwykłych śmiertelników zbyt to mały powód do miłości — dla poety zupełnie wystarczający. „Słowacki nie kocha osoby — lecz jej otoczenie.“ Porzucił ją gdy go znudziło otoczenie. Czy możemy mu przebaczyć tę niewierność? Pomyślmy: Gdyby ją kochał jak człowiek przyzwoity, byłoby małżeństwo — nie byłoby poematu. Co więcej, małżeństwo byłoby nieosobliwem, a poemat jest wspaniały. Ja głosuję za przebaczeniem; z tą jednakże uwagą, że co się przebacza Słowackiemu, to nie ma być przykładem dla innych.

Może to kogoś dziwić, że mając mówić o twórczości poetyckiej tak długo zatrzymałem się nad miłostkami poetów. Gdyby to chodziło o matematyków, rzecz byłaby zbyteczną. Lagrange mając lat ośmnaście napisał *Rachunek waryacyi*, prawdopodobnie bez wpływu ówczesnej swojej miłości — ale poeta jeżeli kocha, to dlatego, że potrzebuje poezyi w życiu — a jeśli pisze, to dlatego, że kochał.

Uczucia poetów są głębokie, wstrząsające, wyraziste, ale ulotne, jeśli zaś bywają stałe, to tylko wtedy, gdy przedmiot drogi widziany jest z oddalenia przez pryzmat *wspomnień* i marzeń. Ale bo też wspomnienia są materyałem *par excellence* poetycznym. Rzeczywistość chwili obecnej ma zawsze zbyt ostre zarysy, zbyt wiele prozaicznej przymieszki, ażeby mogła tak wprost wejść w skład poetycznego arsenału artysty. Dopiero gdy przez zacieranie i zlewanie się wyobrażeń pospolite rysy kształtów znikają, piękniejsze występują w mgle eterycznej, poetyczne drobiazgi żyją i tętnią i świecą, a prozaiczne akcesoryja jak plewy opadają od ziarna pamięci, wtedy myśl poety prowadzi nas coraz dalej „smugiem fal“ i płyniemy swobodnie ponad falami rzeczywistości „w ciszę — jasność — w błękit — w dal!

> Wód zwierciadła, gór widziadła,
> Ziemia, niebo, jeden kraj!
> Rzeczywistość się pomału
> W świat przemienia ideału,
> W sen ze srebra i kryształu.
>
> *Krasiński.*

Tak samo zidealizowania i zatarcia jaskrawych cech potrzebują uczucia poety. Gdy miłość jest w pełni rozwoju, gdy poeta przejęty gniewem, nienawiścią, rozpaczą lub innem jakiem uczuciem, wówczas dopiero zbiera się materjał dla twórczości, o samej twórczości jeszcze nie może być mowy, ona potrzebuje uspokojenia, ciszy, oddalenia, perspektywy, uroku wspomnień.

> „W chwili natchnienia człowiek nic nie tworzy,
> Śpiewa dopiero gdy natchnienie znika.“

Wszystkie te cechy i rodzaje wrażliwości i uczuciowości sprawiają, że poeta w tem samem otoczeniu co inni żyjąc, znajduje dla siebie więcej, znajduje to czego inni nie widzą, czuje to, czego inni nie czują.

> To, o co nie pytaj ludzi,
> O czem im się nie śni —

[1]) Porównaj rozprawę „O metodzie badań psychologicznych.“ 1869.

Dla mnie nocą w sercu budzi
Najwspanialsze pieśni —

mówi Goethe. Niesłychanie drobne wpływy wystarczają do obudzenia całego łańcucha poetycznych skojarzeń w umyśle prawdziwego poety. Wszystko doń przemawia: Promień słońca, „deszczyk perłowy,“ „wietrzyk co w liściach szeleści“ — mówią mu dźwięcznemi słowy:

Coś o cudach natury,
Coś o świata wielkości,
O Bogu, o miłości.

A silne poetyckie wrażenie raz doznane pozostaje w myśli i siłą żywszej niż u innych pamięci wchodzi w skład późniejszych utworów poetycznych. Weźmy przykład:

W powieści Wajdeloty z Konrada znajduje się między innemi taki ustęp:

Rwałem kwiaty ojczyste a czarodzisjska ich wonia[1])
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią zdało się że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi biegałem malemi.

Otóż geneza tego ustępu była następująca: „Raz będąc w Węgziagole, niedaleko Kowna, Mickiewicz poczuł w ogrodzie jakiś zapach, którego sam rozeznać nie mógł, (a był to zapach Krokosu), ale który tak mu przypomniał rodzicielski ogródek w Nowogródku, że wrażenie, którego doznał, dotąd jeszcze (pisze to Odyniec) żywo pamięta.[2])

A oto inny przykład z Listów Słowackiego, który sam o sobie powiedział:

Do rymu nigdy sensu nie naginam:
Nie tworzę prawie nic — lecz *przypominam.*

„Ponieważ o wszystkich czynnościach donosić ci zamierzyłem, otóż donoszę ci mamo, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedyi, o *Wallasie*, szkockim rycerzu. Wiesz co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą: przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mię mamo do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz życie Wallasa.“ *Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie moję imagniacyą.* Wystawiłem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd. W kilka lat potem czytałem romans: *Les chefs ecossais.* Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomięszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale układając tragedyą i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty.“ [3])

Tak to panowie poeci wyzyskują wrażenia dzieciństwa — sztucznie wywołują w sobie smutek, aby tylko nas rozrzewnić.

[1]) I Mickiewicz pozwalał sobie takich licencyj.
[2]) Listy z podróży A. E. Odyńca 1875. II, 33.
[3]) Listy Juliusza Słowackiego do matki (1830—1835). Lwów 1875, Str. 131, 132.

Jeżeli i przy zwykłem otoczeniu poeta znajduje materjał dla swej twórczości, to jednak nie ulega kwestyi, że materyał ten pospolicie bywa bogatszy i że w życiu swem wielcy poeci mieli nietylko możność podmiotową ale i zewnętrzną sposobność doznawania wpływów bujniejszych, rozmaitszych. Nie mówiąc już o podróżach, które tak wielu z nich odbywało, a które tak obficie treścią zasilić mogą żywą pamięć poety — przedewszystkiem wspomnieć należy o tych pierwszych a wyjątkowych wrażeniach dzieciństwa, które na całą przyszłość wpływ swój wywierają. Pochodzą one od matek. Matki wielkich poetów są to zwykle kobiety o wyższym umyśle, bujnej fantazyi i nadmiernie tkliwem sercu. Goethe powiada, że po ojcu odziedziczył postawę i poważny sposób postępowania — a po matce, myśl wesołą i „ochotę do bajania.“ Oto co pisze o nim *Lewes*, znakomity autor życia Goethego:

„Matka rozwijała fantazyą w dziecku, podczas gdy ojciec chciał uczynić z niego starego człowieka, rozwijając w nim rozum. Matka dzieciom swoim prawiła dziwne historye, które były utworem jej własnej głowy. Oddając się popędowi imaginacyi, równie dogadzała dzieciom jak i własnemu usposobieniu. — Powietrze, wodę, ogień i ziemię — mawiała potem — wyobrażałam pod postacią księżniczek zaczarowanych; a każdemu przyrodzonemu zjawisku nadawałam pewien sens ukryty, w który więcej może sama wierzyłam. Myśląc o tych drogach idealnych co prowadzą z gwiazdy na gwiazdę, i o tym duchu wielkim co zamieszkuje planety, sama niecierpliwie wyglądałam wieczora, aby oddać się swobodnie temu marzeniu. Kiedy losy jego ulubionego bohatera nie składały się tak, jakby on sam sobie życzył, postrzegałam, *jak żyły od gniewu nabrzmiewały na jego skroniach* i jak łzy cisnęły mu się do oczu. Wtedy nieraz wołał do mnie: Ależ, mamo, księżniczka nie zechce wyjść za tego krawca, chociażby on nawet zabił wielkoluda...[1])“

Nic dziwnego, że pod takim wpływem fantazya przybierała wyjątkowy polot i wzmacniała twórczą swą siłę. A takie właśnie wpływy napotykamy w dzieciństwie niemal wszystkich poetów. „Zajęcie, jakie okazywał Walterskott do starych ballad (mówi Smiles), winien był opowiadaniom swej matki i babki, którym przysłuchiwał się wprzód nim czytać umiał. W wielu poetach i artystach wpływ uczucia i smaku matki bezwarunkowo daje się dostrzegać, pod którym to wpływem geniusz ich się rozwijał. Przykłady tego znajdziemy w Gray'u, Tomsonie, Walterskocie, Southey'u, Bulwerze, Szyllerze, Goethem, Słowackim i wielu innych.“ „Wpływom matki Mickiewicza (pisze Odyniec), przypisać należy wybitny religijny i mistyczny kierunek, w późniejszych czasach poety.“

„Wiele rysów charakteru Byrona — mówi jeszcze Smiles— bezstronność jego zamiarów, wybitny duch sprzeczności, zawziętość w nienawiści, silna drażliwość, dadzą się po większej części wytłumaczyć szkodliwym wpływem jaki na niego wywierała, oszczypliwa, gwałtowna i surowa matka od chwili przyjścia na świat*).“ Lamartine swą nadmierną, rozpieszczoną czułostkowość także matce zawdzięcza, itd. itd.

(C. d. n)

[1]) G. H. Lewes. Dzieje żywota i utworów Goethego. Przekład A. Nowosielskiego. Petersburg 1860. Str. 10.

*) Samuel Smiles, „O charakterze“ przekład W. Przyborowskiego. Warszawa 1873. I. 68.

Sen konwaliowy.

Śniły mi się konwalie noc całą
Strugę woni rozlewając dokoła —
Z perłą rosy błyszczącą u czoła
I ty byłaś konwalią też białą,
A dwa listki szerokie, zielone,
Nad twem czołem się plotły w koronę...

I widziałem konwalii tłum cały
Jak przed tobą schylały swą głowę —
Dyademy i wieńce perłowe,
Niby z hołdem u stóp twych składały, —
A tyś w dumie królewskiej wyniosła
Po nad głowy poddanek swych rosła.

I widziałem jak potem u szczytu
Rozmarzone i jeszcze półsenne
Całowało cię słońce promienne,
Wychylone ku tobie z błękitu —
I bezkarnie, ach — całą swą siłą
Pocałunkiem w twe usta się wpiło...

Więc o słońce zazdrosny w błękicie,
Żem go nie mógł zagasić w tej chwili,
Gdyście usta ze sobą spoili —
Obudziłem się ze snu o świcie,
Lecz wciąż myśląc o szczęsnym rywalu
Patrzeć w niebo nie mogę — bez żalu!...

n.

Tydzień lwowski.

XIV.

(Z.) Zdaje się, że w tym roku, będziemy musieli odbywać *majówki* z parasolami, w kaloszach i futrach, albo też odłożyć je na lipiec, w którym to miesiącu prawdopodobnie wiosna się zacznie. Tymczasem zaś jedyną dla nas rozrywką jest teatr, a mianowicie opera, której w ostatnich czasach nie podobna nie przyznać gorliwości. Mieliśmy Aidę, Straszny Dwór, Lohengrina i wreszcie Purytanów, na benefis panny Marco, opuszczającej scenę lwowską. Na to ostatnie przedstawienie publiczność zapełniła cały teatr, chcąc odjeżdżającej artystce okazać swą sympatyą i uznanie, a pomimo, że z powodu choroby głos jej nie dopisywał, publiczność, ostrzeżona o tem, nie żałowała kwiatów i oklasków. Nazajutrz tj. we środę, równie pomyślnie odbył się benefis panny Gabbi śpiewającej w „Aidzie.“ — Nowa sztuka nieznanego autora „Palmyrona“ p. t. „W drugiem pokoleniu,“ o ile się zdaje, nie utrzyma się długo na scenie. A jednak jest to dzieło niepospolitego talentu, i jeżeli nie miało powodzenia to tylko z winy samego autora, który uwziął się przedstawić same czarne charaktery, bez żadnego dodatniego typu, a nawet bez myśli dodatniej. Ztąd też nawet silnie dramatyczne sceny i doskonała konsekwencya charakterów, nie zdołały ująć widzów za serce. W sztuce występują trzy pokolenia społeczeństwa żydowskiego; typem pierwszego jest starzec kochający tylko zakon i złoto; typem dru-

*

giego wytrawny spekulant kochający tylko złoto, a typem trzeciego młodzik, który już nawet pieniędzy nie szanuje, ale zato lubi wszystko to co za nie dostać można; kompletu złożonego z oszustów i lichwiarzy dopełniają: hrabia bez charakteru, wiarołomna żona, fałszywa bigotka i ograniczona gąska salonowa. Przyznacie, że największy talent za pomocą takich środków sympatyi nie obudzi. A szkoda! Pominąwszy bowiem nadmierną długość pierwszego aktu, który trwa przeszło godzinę, i w ogóle nieco rozwlekłe dyalogi, pominąwszy wreszcie ów wstrętny nastrój całej sztuki, musimy przyznać autorowi, wcale niepoczątkujący talent dramatyczny, siłę sytuacyi, zdolność naturalnego gromadzenia efektów i umiejętnego uwydatnienia charakterów.

* * *

Podajemy poniżej wyjątki z listu, który otrzymał jeden z naszych współpracowników od p. Karola Brzozowskiego. Czytelnikom „Tygodnia" wiadomo, że poeta ten po krótkim pobycie we Lwowie wrócił do Syryi, a list niniejszy jest właśnie pierwszym przesłanym do kraju:

„Od pozawczoraj jestem w domu i spieszę z temi listami do was, bo zdaje mi się, że później nie będę mógł tego zrobić — mówię zdaje mi się — daj Boże żebym się omylił, chodzi bowiem o chorobę jakąś, która mi grozi, a której uledz nie chcę. Czwartego kwietnia szczęśliwie przybyłem do Bajrutu, zkąd zapóźniłem się na statek i ten mi z pod nosa umknął. Skazany na całe piętnaście dni rekolekcyi w mieście, gdzie nie ma co robić, aż do drugiego statku, a nie chcąc tej rekolekcyi odsiedzić, miałem przed sobą trzy środki komunikacyjne do Lattaki: barkę żaglową, konia i apostolskie nogi. Konia odrzuciłem jako rzecz zbyt skomplikowaną — wiele przytem w drodze kłopotu, i chciałem się zdecydować na nogi, bo drogę znam doskonale, a 220 wiorst nie tak to straszne, zwłaszcza, że miałem pod ręką strzelbę, której jedna rura do kul, ale nie mogłem dobrać sobie najważniejszego przedmiotu: dobrych, wygodnych chodaków. Zgodziłem więc sobie barkę, pomimo, że straszono mnie zanadto silnym wiatrem. Nie zważałem na to, sądząc że wiatr będzie południowy, a taki w kilkanaście godzin mógłby mnie zapędzić do domu. Jakoż wsiadłem do łódki i w mgnieniu oka zniknął mi Bejrut z oczu, wtem, prawie nagle wiatr zmiękł, z pomyślnego odmienił się na przeciwny, zmuszając nas do lawirowania — w końcu nareszcie usnął zupełnie. Morze wygładziło się jak śpiącej dzieweczki oblicze — i wystaw sobie mój drogi Władysławie — tej cudownej piękności całe pełne siedm dni i siedm nocy! Dni gorących a nocy zimnych. Podarty stary żagiel za parasol w dzień, a za płaszcz w nocy! coś mi się musiało podsmażyć w mózgownicy, bo nie mogę się bólu głowy pozbyć i parę razy na dzień napadają mnie mdłości... Jeżeli się z tego wywiąże choroba, to będzie złośliwa, mam nadzieję jednak, że się i to po mnie ośliźnie, ale tymczasem tak jestem rozbity, że nie mogę z jednej izby do drugiej przejść, nie uchwyciwszy się jakiej podpory. Nie na rękę mi to wszystko; bo jutro odchodzi ztąd do Stambułu statek francuski, którym miałem pojechać, rad nie rad muszę czekać aż mi będzie lepiej. Muru głowy nie przebijesz!

Wczoraj rozpatrzyłem się w moich szpargałach i mam już tylko parę arkuszy wykończyć, aby wam nadesłać rzecz o połowę dłuższą od Deli Petka. I tu znajdziecie parę niezłych rysunków pustyni, całość jednak luźna jak każde opowiadanie przebieganej drogi. Są to wspomnienia z Eufratu. Co do wydania moich poezyi: będzie niejakaś zwłoka z wydostaniem rękopismu, który jest w Stambule, nie chcę go tu ściągać, bo myślę sam jechać tam, a nie chcę pisać, żeby wprost wysłano, bo koniecznie jeszcze to wszystko muszę przerzucić.

Przybywszy tu, odbieram wszelkie wiadomości z Europy w dni piętnaście, a nieraz i później; oprócz podpisania protokołu i pokojowych wiadomości, nic tu dotychczas nie doszło, dziwnie to jednak odbija od wyekspedyowania ztąd przed pięciu dniami drugiego powołania redyfów i rozkazu ściągnięcia trzeciego i czwartego. Nie wiele to ściągnienie przyniesie ludzi, bo uciekają w góry, gdzie trzeba będzie na nich jak na dzików polować. W ogóle stan smutny. Zapał wojenny może jest w Stambule — tu nędza, strach i rozpacz!...

Karol Brzozowski.

Ruch społeczno-ekonomiczny.

I.

Zkąd się bierze ta rubryka i czego ona chce w „Tygodniu"? — Dlaczego nawet pismo, które przywykliśmy nazywać literackiem, nie oszczędzi nam zajmowania się naszymi kłopotami i biedą ekonomiczną naszą, o których nieustannie w pismach politycznych czytamy? — Czyż „Tydzień" nie powinienby przedewszystkiem zajmować się „wyższemi" sprawami literatury, sztuki, umiejętności, pozostawiając codziennym pismom sprawy społeczno-ekonomiczne? Tak zapewne zapyta niejeden z naszych czytelników, a niewątpliwie wielka większość szanownych czytelniczek, ujrzawszy w dzisiejszym numerze pierwszą pogadankę naszą, którą rozpoczynamy szereg sprawozdań miesięcznych o społeczno-ekonomicznym ruchu. Odpowiedzieć na te pytania, wyrobić nowej rubryce prawo obywatelstwa w „Tygodniu," wskazać kierunek jakim ją prowadzić zamierzamy, a zarazem zasady, które w niej będziemy stosować — ten jest cel dzisiejszego artykułu.

Już sam tytuł pisma naszego wskazuje, że sprawy społeczne nie mogą mu być obce. I dobrze założyciel „Tygodnia" uczynił, gdy chcąc oznaczyć jego zakres, dodał słowo „i społeczny." Między umysłowem bowiem życiem narodu a życiem jego i postępem ekonomicznym i społecznym zachodzi stosunek najściślejszej wzajemności i oddziaływania, a to nietylko pod względem siły rozwoju obu, ale także i co do ich kierunku. Już w pierwszych czasach cywilizacyi każdy krok naprzód w zakresie ekonomicznym, musiał być skutkiem pewnego chociażby tylko zupełnie empirycznego wzbogacenia ludzkich wiadomości. Wynalezienie nowego narzędzia, ułatwiającego pracę człowieka, lub udoskonalenie dawnego, znalezienie istniejących w przyrodzie a dawniej człowiekowi nieznanych materyałów, mogących służyć ku zaspokojeniu jego potrzeb, odkrycie jakiejkolwiek siły, któraby częściowo zastąpiła siłę człowieka, to wszystko nie mogło być dokonanem inaczej jak tylko pewnem wzbogaceniem wiedzy ludzkiej, czasem czysto przypadkowem, czasem zaś zdobytem dłuższą pracą i doświadczaniem. Tak samo też rzecz się ma i na wyższych stopniach cywilizacyi. Wszelkie nowe postępy w rolnictwie i przemyśle zawdzięcza się tak dalece umysłowym zdobyczom ludzkości, iż bez nich stalibyśmy dzisiaj na tym samym punkcie ekonomicznego rozwoju, na którym byliśmy przed wynalazkiem maszyny parowej, i przed nowemi zdobyczami chemii rolniczej. Od umysłowego poziomu narodu, od sumy specyalnych w nim wiadomości, słowem od jego inteligencyi zawisł przeto rozwój ekonomiczny.

Oddziaływanie jednak — jak powiedzieliśmy — jest obopólnem. Słusznie zauważył Buckle, iż powstanie osobnej klasy ludzi zajętych wyłącznie pracą umysłową niemożliwem było póty, póki ludzkość ekonomicznie tak nie postąpiła, iż były dostateczne zasoby do zaspokojenia fizycznych potrzeb tych, którzy się oddali pracy nad zaspokojeniem moralnych i umysłowych potrzeb ogółu. Toż umiejętność, literatura, sztuka, wymagają niezbędnie znacznych w narodzie zasobów materyalnych tak dla swego wewnętrznego rozwoju jak i dla rozprzestrzenienia w jak najszerszych kołach społecznych. Pracować więc trzeba na roli, w warstacie, fabryce, handlu, ażeby zbierać zasoby, których umysłowy rozwój narodu wymaga, pracować znów trzeba umysłowo, ażeby potęgować materyalne zasoby narodu, podnieść żyzność roli, zwiększyć dochód fabryki i warstatu.

Ale powiedzieliśmy także, że to oddziaływanie wzajemne odbywa się nietylko we względzie siły rozwoju, ale też i co do jego kierunku. Nie można zrozumieć dobrze piśmiennictwa narodu, nie znając społecznych jego kształtów; trudno sobie wytłómaczyć wiele objawów społecznych: dążenia do reform i kierunku tych reform, nie znając odwrotnie kierunku, jaki wzięła inteligencya narodu. Przemysłowemu prądowi w życiu ekonomicznem zawsze odpowiadać będzie w życiu umysłowem dążenie ku większej swobodzie badania — społeczeństwo zamykające gospodarczą swą pracę wyłącznie lub prawie wyłącznie w rolnictwie, zawsze w swych umysłowych pracach skłonniejszem będzie do ślepego poddawania się powagom. Swoboda badania, krytycyzm w rzeczach umiejętności i literatury, wywołuje zawsze bardziej demokratyczne prądy w rzeczach społecznych a krytycyzm ten przeniesiony na sprawy socjalne staje się z czasem sprężyną bardzo ważnych reform społecznych.

Wobec tego wzajemnego oddziaływania umysłowego i społeczno-ekonomicznego rozwoju — należy koniecznie uwagę ogółu zwracać równocześnie na jedno i drugie. Unikniemy przez to fatalnej jednostronności, w jaką już nieraz społeczeństwo nasze popadało, iż albo zaniedbywało się zupełnie sprawy materyalnego bytu, uważając je jako zbyt poziome wobec spraw polityki, literatury, sztuki, albo znowu „dla miłego grosza" zacierało się wszelkie wyższe, szlachetniejsze dążenia. Od należytego zrozumienia owego oddziaływania, od silnego przejęcia się tem iż praca ekonomiczna wymaga niezbędnie większych zasobów inteligencyi, a postęp umysłowy nie obejdzie się bez znacznych materyalnych zasobów — zależeć będzie, czy zdołamy stale ustrzedz się tej zgubnej, a siły narodu wielce osłabiającej jednostronności. I ten jest cel, dla którego wprowadzamy do pisma przeważnie literackiego, miesięczne sprawozdania o społeczno-ekonomicznym ruchu. Słówko jeszcze o kierunku tych sprawozdań, o przewodniej ich zasadzie. Oczywiście, że nie możemy w ramach jednego artykułu zamieścić całego ekonomicznego i socjalnego programu i należycie go umotywować, a poprzestać musimy na wytknięciu głównych, zasadniczych punktów.

Takim pierwszym punktem zasadniczym jest nadanie całej gospodarczej naszej czynności kierunku więcej przemysłowego. Wśród ciągłego chlubienia się żeśmy krajem rolniczym, spichlerzem Europy, i t. p. doszliśmy do tego, że w tym kraju rolniczym gospodarstwo rolne stoi niżej aniżeli w innych, na któreśmy do niedawna z wysoka patrzyli, że w tym kraju rolniczym ludność rolnicza w coraz cięższą popada nędzę i w niewolę lichwiarską — że ten spichlerz Europy miewa u siebie peryodyczne „kwestye głodowe" i głodowe pożyczki, a na targach europejskich pojawiają się coraz nowi współzawodnicy, z którymi nasz „spichlerz" konkurencyi wytrzymać nie może. W czem przyczyna tego? Jeżeli nie jedynie, to pewno przeważnie w wyłączności naszej rolniczej, a zupełnem zaniedbaniu przemysłu. Silniejszy rozwój przemysłu powiększając wewnętrzną domową konsumcyą płodów rolniczych, zmniejszyłby w znacznym stopniu fatalną zawisłość naszą od targów zagranicznych, która sprawia, iż możemy dobrze zbyć nasze plony tylko wtedy, gdy u bliższych czy dalszych sąsiadów głód, drożyzna lub wojna; dozwoliłby podnieść żyzność ról naszych przez sztuczne nawozy; podniósłby uprawę wielu roślin przemysłowych, dotychczas bardzo zaniedbanych; a tem samem przez większą rozmaitość uprawy zmniejszyłby doniosłość klęsk nieurodzaju — słowem: wpłynąłby znakomicie na podniesienie rolnictwa, a wzmógł szybciej materyalne zasoby kraju przez to, że co dzisiaj z surowych płodów wywozimy za granicę, a ztamtąd pobieramy znowu w kształtach przez przemysł przerobionych, opłacając

koszta przewozu, i obcych robotników, i zyski obcych przedsiębiorców, toby zostawało w kraju, i zatrudniało naszych robotników, i naszym przedsiębiorcom dawałoby zyski, i nie wymagałoby znacznych kosztów dwukrotnego przewozu.

W całym zakresie przemysłowej pracy, niezmiernie ważną gra rolę przemysł domowy, którym ostatnimi czasy poczęto się u nas żywiej nieco zajmować. Obok tej doniosłości, jaką ma sprawa podniesienia przemysłu w ogóle, ta szczególniej gałąź jego ma u nas to jeszcze znaczenie, iż podniesie ludność rolniczą dając jej obok pracy na roli, inną jeszcze, zazwyczaj dość łatwą pracę, nie wymagającą wielkich kapitałów, a jednak bardzo korzystną — pracę, która i moralnie wpłynie dobrze na lud, bo mu wypełni zimowe bezrobocia, i nieraz zatrzyma w chacie wśród rodziny, gdy bez domowego przemysłu zapełniają się karczmy, a opróżniają chaty, ku największej materyalnej i moralnej krzywdzie włościanina.

Drugim równie doniosłym punktem ekonomicznego programu jest kwestya zniżenia stopy procentowej. Z umysłu nie nazywamy jej kwestyą ułatwienia kredytu, bo przy dzisiejszej stopie procentowej wielka łatwość drogiego kredytu może być bardzo zgubną. Kraj, w którym zakłady niespekulacyjne (jak np. Towarzystwa zaliczkowe) muszą brać od osobistego kredytu po 8 do 12 od sta, w którym zakłady spekulacyjne biorą od 9 do 18 od sta — lichwa zaś prywatna nie zna żadnych granic, bo od 60% sięga tak wysoko jak tylko sięgnąć może chciwość lichwiarza, a cały dobytek dłużnika – kraj taki powinien się z kredytem jak z obosiecznym mieczem obchodzić ostrożnie, a starać się przedewszystkiem stępić jedno, przeciw ekonomicznemu interesowi kraju zwrócone ostrze tego miecza, przez zniżenie stopy procentowej. Obok tych najważniejszych podstaw ekonomicznego programu, od których przeważnie zawisła naprawa stosunków naszych, stają przed nami rozliczne jeszcze kwestye szczegółowe, jak regulacya rzek, opieka nad lasami, komasacya gruntów, melioracye, uzupełnienie sieci komunikacyjnej itp.

W tych wszystkich działaniach nie jesteśmy bezwzględnymi i jednostronnymi zwolennikami pomocy własnej, i owego do niedawna jeszcze w umiejętności ekonomicznej górującego *laisser faire, laisser aller*. Państwo — a pod państwem rozumiemy tu całość organizacyi władz publicznych, zarówno centralnych jak autonomicznych, jest i będzie zawsze bardzo potężnym czynnikiem w ekonomicznym rozwoju, błędy popełniane przez ustawodawstwo i administracyą ciężą w swych skutkach na całych pokoleniach, zbawcze środki przez te władze podjęte w bardzo wielu wypadkach nie dałyby się żadną miarą zastąpić prywatnemi usiłowaniami. Zasada bezwzględnej swobody ekonomicznej wychodzi na dobre tylko wyzyskiwaczom z profesyi, a zresztą była ona w praktyce zawsze stosowaną tam tylko, gdzie chodziło o zapobieżenie usiłowaniom, mającym na celu przykrócenie swobody wyzyskiwania. Pomoc państwa, z takim zawsze zapałem potępiana przez klasy panujące, jednak w tysiącznych wypadkach była stosowaną, gdy chodziło o ich interes. To też nowa szkoła ekonomistów, której głównem było staraniem ze stanowiska gospodarstwa jednostkowego wznieść się na stanowisko prawdziwie społecznej ekonomii, nie stawia już owej kwestyi spornej czy własna pomoc, czy pomoc państwa, tak jak ją stawiano dawniej — ale: w czem, i jaka pomoc państwa jest potrzebną, i gdzie jej granice. I my też w sprawach ekonomicznych naszego kraju, musimy sobie zawsze w ten sposób kwestyę tę stawić – oczekując od naszych władz autonomicznych tak ustawodawczych jak administracyjnych, iż zrozumiawszy dobrze interes ekonomiczny kraju, uczynią wszystko, co w mocy ich leży, ażeby go poprzeć, a zarazem będą się starały o takież same poparcie ze strony władz centralnych.

Ta zasada jednak nie wyklucza bynajmniej pomocy własnej, t. zw. samodzielnej pracy społeczeństwa *tam* gdzie ona skuteczną być może, gdzie pomoc państwa sięgnąć nie może lub chwilowo nie chce, lecz owszem potęguje jeszcze obowiązek tej pracy. Bo tak samo jak zwolnienie władz publicznych od wszelkiej za ekonomiczne nasze stosunki odpowiedzialności i od wszelkich obowiązków, byłoby niedorzecznem, tak też zgubnem by było opuszczenie rąk ze strony samego społeczeństwa. *Wszystkiego* nie zdziała ani *sama* pomoc państwa ani też *sama* pomoc własna, a dopiero w połączeniu obu jest nadzieja wydźwignięcia się z ekonomicznego upadku.

Tę samą zasadę, którą stosujemy tu do praktycznych zadań w naszym kraju, stosuje nowa szkoła ekonomiczna do tak zwanej kwestyi socyalnej, która grozi Zachodowi ciężkiemi burzami. Śmiało wypowiadają dziś ekonomiści, iż w kapitalistycznym systemie nowych czasów tkwią silne zarodki wyzyskiwania, i że system ten tak jak się on dzisiaj przedstawia, skazuje miliony na nędzę materyalną a moralny upadek. Żądają przeto reform, nie w kierunku wywłaszczenia kapitału, do czego zmierzały niektóre szkoły socyalistyczne, ale w kierunku ukrócenia wyzyskiwania, moralnego podniesienia klasy roboczej, ułatwienia asocyacyi, ustawodawstwa fabrycznego opiekującego się pracą i t. p. Nie przeczą iż te reformy stopniowo tylko, i tylko po dłuższym przeciągu czasu objawią zbawienne skutki, ale też będą one prawdziwem lekarstwem, podczas gdy gwałtowne przewroty zamierzane przez niektóre szkoły socyalistyczne mogłyby wprawdzie zburzyć, lecz nie zbudują nic pozytywnego. U nas, przy małym rozwoju fabrycznego przemysłu, ta kwestya nie staje tak groźno jak tam. Mamy jednak inną kwestyą socyalną i niewolę lichwiarską ludu wiejskiego, coraz szybciej dokonywane wywłaszczanie małych rolników, ztąd przerażający wzrost proletaryatu wiejskiego. Ta kwestya socyalna wymaga także szybkiego ratunku, a znajdzie go tylko w umiejętnej kombinacyi pomocy własnej z pomocą państwa. Zresztą, przy stopniowym wzroście przemysłu naszego, który rozwija się także na zasadzie kapitalizmu, musi z czasem podnieść się takaż sama kwestya socyalna, jaką widzimy na Zachodzie. Śledząc za reformami społecznemi tam podejmowanemi, i bacząc dobrze co się z nich u nas da zastosować, możemy uprzedzić powstanie tej kwestyi, możemy już dzisiaj przyszłym klęskom zapobiegać, przez ekonomiczne, moralne i intelektualne podnoszenie ludu miejskiego i wiejskiego. Bo najwyższą zasadą jaka we wszelkich ekonomicznych i socyalnych działaniach przewodniczyć nam powinna jest: iż nie ten naród jest prawdziwie bogatym, w którym obok wielkich bogactw skupionych w ręku niewielu jednostek, widzimy wielką nędzę i ekonomiczną niewolę mas, ale ten, w którym *ogół* jest zamożnym i niezawisłym. Przepaściste różnice wielkich bogactw u góry a nędzy u dołu, to zarodek strasznej choroby, która może najpotężniejsze narody doprowadzić do upadku; wyrównanie tych różnic nie gwałtownymi przewroty, nie wywłaszczaniem i spychaniem bogatych na niższe ekonomiczne szczeble, ale reformami i pracami ku podniesieniu nędznych, to najwyższy cel ekonomii, i ta też zasada głównie nam przewodniczyć będzie.

T. Romanowicz.

Tydzień Warszawski.

VII.

Obiad na cześć Siemiradzkiego wypadł prawdziwie świetnie.

W sobotę dnia 5. maja sala Resursy obywatelskiej napełniła się tłumem dziennikarzy, artystów, rolników, bankierów i przemysłowców, pragnących oddać hołd jednej z pierwszych gwiazd naszego malarstwa. Osób było 300. W chwili, gdy Siemiradzki wchodził otoczony gronem rodziny swojej, orkiestra p. Rożalskiego przyjęła go polonezem Kurpińskiego, a uczestnicy obiadu grzmotem oklasków. Toast powitania wzniósł Wojciech Gerson jako wice-prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych. Następnie Wacław Szymanowski, redaktor *Kuryera Warszawskiego*, wypowiedział gorącą i piękną mowę, podnosząc doniosłość prac artysty, ze stanowiska sztuki polskiej. Po Szymanowskim wystąpił były jego współzawodnik jako redaktor *Kuryera Codziennego* Karol Kucz, zakończywszy swe przemówienie wierszem, w którym „matka“ (a mówiąc niecenzuralnie „ojczyzna“) wita syna na jej łono wracającego:

O! niech ta uczta, co jakby ogniwem
Jednoczy wszystkich pod braterstwa znakiem:
Zarówno sercem, jak słowem życzliwem
Złączy rodaków — z ich gościem rodakiem.

Wszak oklask matki — dla jej własnych synów
Uścisk jej dłoni, jedną łzą zwilżony
To najpiękniejszy listek z ich wawrzynów,
To najświetniejsza perła z ich korony.

Zatem tak od niej, jak i od tych braci,
Przyjm te oznaki — wobec tego grona;
A ona wzajem miłością ci spłaci
Gdy cię jak syna przygarnia do łona.

My zaś powtórzym te odwieczne słowa,
Według starego ojców obyczaju:
Niechaj cię niebo jak najdłużej chowa,
Dla chluby braci — i dla sławy kraju!

Odpowiadając na te przemowy, Siemiradzki, w słowach prostych ale szczerych wzniósł toast na podziękowanie i na cześć nieobecnych mistrzów malarstwa polskiego: Matejki, Brandta, Chełmońskiego, Rodakowskiego i innych. Przemawiali jeszcze pp. Lewestam, prof. liter., Kamiński, adwokat, Jaksa Bykowski, autor Pamiętników Włóczęgi i Królikowski, artysta dramatyczny w imieniu kolegów. P. Kotarbiński zaś, o którym wspominałem w zeszłym liście, odczytał wiersz Wiktora Gomulickiego, który między młodymi poetami naszymi celuje mozajkową barwnością swych utworów i wdziękiem formy. Wiersz na cześć Siemiradzkiego napisany zawierał poetyczny opis jego obrazów, a kończył się następującym zwrotem do artysty:

Twoje obrazy, mistrzu, to karty olbrzymie,
Które kształtów językiem mówią nam o Rzymie
Lepiej, niż dziej pisów grube woluminy.
W nich myśl nowa mistyczne otrzymuje chrzciny
I wzrasta, żeby okryć ciebie — i nas — chwałą.
Ty już dziś tryumfujesz tak jako przystało
Na wielkiego artysty i dzielnego męża —
Bo zwycięzcą ten, czyja idea zwycięża!

Fotograf Brandel dla upamiętnienia tej chwili podjął się bezpłatnie wykonać emblematyczny obraz z fotografiami wszystkich uczestników uroczystości.

Sądzę, że Siemiradzki mile wspominać będzie Warszawę, zwłaszcza że objawy uznania były nietylko idealne; już bowiem drugi jego obraz, mianowicie „Handlarz amuletów“ został kupiony w Warszawie za sumę 3.000 rubli.

Wszystko to pięknie, mówi nasz *Kuryerek od Święta*, jednakże wy malarze i wy recenzenci:

Pozwólcie sobie zrobić małe zapytanie:
Gdyby ten Siemiradzki, co go wszyscy czcicie,
Nie bawił za granicą, która go pojęła,
Gdyby dla nas pracował, u nas pędził życie,
I u nas tworzył swoje znane arcydzieła,
Powiedźcie, czyby wtenczas nie był truty jadem,
Nie widziałby prac swoich w rzędzie bagatelek,
Czybyście mu owacyą robili obiadem,
Czybyście mu kupili, chociażby serdelek?

A wyraziwszy swe powątpiewanie w tym względzie tak kończy, zwracając się do mistrza:

Siemiradzki! Ty będziesz wielkim w każdej dobie,
Twoje dzieła najdalszą potomność zachwycą,
Jednakże dziękuj mistrzu i Bogu i sobie,
Że nie malujesz u nas, ale za granicą.

Ponieważ nic więcej ważnego w naszem miasteczku nie zaszło zakończę ten list najnowszą statystyką naszych wydawnictw peryodycznych. Ciągły wzrost dziennikarstwa doprowadził do tego, że wychodzi u nas obecnie:

Pism codziennych . .	10
Świątecznych	2
Tygodniowych . . .	29
Dwutygodniowych . .	1
Miesięcznych	4
Razem	46

Z tych w języku polskim 42, polskim i rosyjskim 2, rosyjskim 1 i hebrejskim 1. Pod względem treści:

Urzędowych	2
Pół urzędowe	1
Prywatnych politycznych	8
Brukowe	1

Społecznych	3
Literackich	6
powieściowych	2
Religijnych	3
Rolniczych	3
Lekarskich	2
Aptekarskie	1
Techniczne	1
Przyrodnicze	1
Sądowe	1
Ludowe	1
Dziecinnych	2
Teatralne	1
Humorystycznych . . .	3

Ilustrowanych artystycznie jest 5, szkicowo 3, a oprócz tego 12 pism posługuje się drzeworytami i litografiami dla objaśnienia tekstu. Nadto winienem dodać, że na prowincyi, oprócz gazet urzędowych gubernialnych wychodzi 5 pism polskich i 1 niemieckie.

Ze świata muzycznego.

Lohengrin na scenie lwowskiej.

II.

(S.) — Poprzednim razem mówiliśmy o muzyce Wagnera w ogólności, ażeby mniej kompetentnym ułatwić zrozumienie i ocenę genialnych dzieł tego mistrza; dzisiaj zaś chcemy dać nieco bliższe sprawozdanie o przedstawieniu u nas jego wspaniałej opery *Lohengrin*. Odwłoka ta wreszcie wyszła po części na dobre bo naplecione odówczas bądź to przez naszą Ulicę, bądź to przez innych profanów, mnogie a niestworzone duby o wagnerowskiej muzyce, mogą tu niejako się przejrzeć i zobaczyć przynajmniej pośrednio, swą doskonałą inepcyą. Jednym bowiem nie podobało się libretto, i to co do sensu; przypuszczamy więc, że muszą znać lepsze libretta oper, których sens ich zachwyca; ciekawa rzecz żeby je chcieli wymienić: może n. p. *La Gazza Ladra*, gdzie wielki trybunał wielkich sędziów z całą powagą skazuje na śmierć dziewczynę, za to, że jej zabrakło jakiejś łyżeczki z kredensu. A przecież nikomu się dotąd nie śniło napadać na libretto prześlicznej *Gazza Ladra*. Inni znów zarzucają, że u Wagnera nie ma wcale melodyj, a tylko „recytatywa." Otóż bieda! Jednakże, jak wiadomo, istnieją pewne *Lieder*, któreby nawet ich pseudo-autorowi wielką sławę zjednały, gdyby nie ta mała okoliczność, że są one tylko prostemi plagiatami z owych niby tylko „recytatyw" Wagnera. Dla innych zaś muzyka Wagnera wydaje się „nudną." Poczciwym tym ludziom, o ile mówią prostodusznie, szczerze, a mają potemu pieniądze, radzimy nie opuszczać żadnego przedstawienia *Lohengrina* i to w ich własnym interesie. Nie należy bowiem im zapominać, że *Lohengrin*, to dzieło wielkie, kolosalne i które wzbudziło admiracyą wszystkich najwyższych dzisiejszych kompozytorów, znawców i całych stolic cywilizowanego świata; że *Lohengrin* wreszcie, podobnie jak i inne dzieła Wagnera, służył za pierwowzor dla największych mistrzów naszej epoki i że tym to pierwowzorom zawdzięczamy w pewnej części *Don Carlosa*, niektóre najpiękniejsze części *Afrykanki* a ostatnio *Aidę*. Otóż do słuchania takich dzieł jak *Lohengrin* nyleży się potrosze przygotować, a wówczas, proszę nam wierzyć, ten miły trud sowicie się opłaci, kształcąc i podnosząc nasze poczucia muzykalne i dozwalając nam rozkoszować się pięknem, o jakiem zwykłe profany nawet marzyć niezdolne. Co zaś w końcu do niektórych opowieści, jakoby muzyka *Lohengrina* miała być „hałaśliwą," należą one widocznie do dziedziny tak skończonej humorystyki, że możemy przejść nad niemi bez żadnej ceremonii do porządku dziennego, przystępując wprost do głównej rzeczy.

Jak to poprzednio pisaliśmy, już pierwsze przedstawienie u nas *Lohengrina*, wypadło względnie do danych warunków tutejszej opery, po nad wszelkie nasze oczekiwania. Następne przedstawienia były coraz lepsze. Główna dekoracya wcale dobra. Kostyumy nowe i piękne a w stosunku do cen biletów i marnej subwencyi naszej opery to może nawet nieco za kosztowne. Muzyka zasceną znacznie lepsza niż początkowo, choć jeszcze zostawia sporo do życzenia i tak np. na przedstawieniu sobotniem (5 b. m.) w najważniejszych miejscach owej pięknej pobudki, w IIgim akcie, clarino mocno krewił. Natomiast orkiestra, pomimo że w tej operze ma bardzo wielkie zadanie, sprawia się nieskończenie lepiej niż to dotąd czyniła w innych operach. Zgoda instrumentów, crescendo i decrescendo coraz lepsze i piękniejsze. Tylko krańcowe stopnie w ich dłuższem wytrzymywaniu jeszcze nie dopisują, bo pianissimo za silne a fortissimo za słabe. Co do chórów, to kobiece niekiedy zbyt szafują głosem, podczas gdy męskie, mianowicie w śpiewach trudniejszych (np. na początku 2giej części aktu IIgo) zanadto się oszczędzają i niedokładnie artykułują, ale jednakże tak jedne jak drugie nieporównanie lepiej wywiązują się ze swego zadania aniżeli to dotąd w innych operach bywało. Trochę niewdzięczna rola herolda dostała się p. Koncewiczowi, któremu zwykle przy trzeciej anuncyacyi głos słabnie, ale potem wszakże odzyskuje swą siłę. Nareszcie co do głosów głównych, partyę Elsy spiewała dotąd panna Marco; Ortrudy, panna Gabbi; partyę Lohengrina, spiewa p. Zakrzewski; grafa Frydryka, p. Verdi, a króla Henryka, p. Tercuzzi. Z tych głównych pięciu partyj tylko p. Zakrzewski spiewa po polsku, cztery zaś inne są dotąd spiewane po włosku.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXXII.

Wojnę straszną opiewam, krwawe opiewam zapasy! Nie te, do których się właśnie sposobią Turcy i Moskale, ani te, które w tej chwili wstrząsają państwem wielkiego Mikado, ale te zawzięte harce, które z sobą w *Piaście* i *Przeglądzie lwowskim* staczają dwaj hetmani wojującego ultramontańskiego kościoła, dwaj księża-redaktorowie: znany z akademickiego stylu swego ks. Edward Podolski, i nie mniej znany „przyjaciel ludu polskiego" ks. Stanisław Stojałowski.

Wojna to niezawodnie wielce ciekawa! W swarach świeckich dziennikarzy bywa zwykle powodem sporu prenumerata, czasami różnica zdań; przeciwnik stara się przeciwnika pokonać loiką lub dowcipem, w braku loiki i dowcipu dosadnością komplementów w rodzaju tych, które sobie zwykli byli prawić bohaterowie Homera, lecz czemże jest taka polemiczna partyzantka wobec wojny, w której do boju występują trzy teologiczne cnoty i dziewięć dobrych uczynków, w której każdy z przeciwników opiera prawe swe skrzydło na dogmatyce, a lewe na hermeneutyce, i manewrując pułkami cherubinów i serafinów kartaczuje swego przeciwnika łacińskiemi cytatami z proroka Ezechiela lub Habakuka?...

Sądzę więc, że nie znudzę czytelników, gdy im opowiem przebieg tej Iliady, której początek zresztą mało komu jest znanym, mało kto bowiem w tych bezbożnych czasach abonuje *Piasta* i *Przegląd lwowski*, a kto je abonuje, ten ich z pewnością nie czyta.

„Owoż tedy, na początku — tak twierdzi *Piast* — był pomysł pielgrzymki do Rzymu, a pomysł ten był drukowany w *Piaście*, i *Piast* z 15. grudnia r. z. był owym pomysłem. I był człowiek posłany od Boga, któremu na imię było ks. Stanisław Stojałowski; nie był ci on światłością, ale przyszedł, aby świadczyć o światłości. Do świata się udał, ale świat go nie poznał, do swej własności przyszedł, a swoi go nie przyjęli, lecz zawiązawszy komitet pielgrzymki, nie powołali go na członka tego komitetu, aby się wypełniły słowa Pisma świętego: „Ten ci jest, który po mnie przyszedłszy, uprzedził mnie, bo pierwej był, niż ja."

„I stało się, że gdy ks. Stojałowski wydał odezwę do ludu polskiego, wzywając go, aby pożyczywszy sobie u Żydów pieniędzy, spieszył pod jego przewodnictwem do Rzymu, przyszli doń wysłańcy komitetu i rzekli mu: „Członkiem-że komitetu jesteś?" A on rzekł: „Nie jestem". I pytali go wtedy mówiąc: „Któżeś jest, abyśmy odpowiedź dali tym, co nas wysłali. Cóż wdy powiesz o sobie?" A on rzekł: „Jam jest głos wołającego na puszczy: Włościanie, pożyczcie sobie u Żydów na lichwę pieniędzy, a ja was do Rzymu poprowadzę." I rzekli mu wtedy wysłańcy: „Czemuż wzywasz lud do pielgrzymki, jeżeli nie jesteś członkiem komitetu?" A on odpowiedział im mówiąc: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jam jest przyjaciel ludu polskiego, i każdego chłopa który mi da sto reńskich zawiozę do Rzymu z pewnością, a tego który mi da reńskich siedemdziesiąt zawiozę także do Rzymu, ale już nie tak pewnie, albowiem jam jest ojcem pomysłu pielgrzymki do Rzymu, i sam dla siebie komitetem." Wtedy powstał przeciw niemu ks. Hołyński w *Wiadomościach kościelnych*, i zarzucił mu, iż jest heretykiem, i udowodnił mu to z Micheasza. I powstał zasię przeciwko niemu ks. Podolski w *Przeglądzie lwowskim*, i zarzucił mu iż jest „harubiem i tarabanistą" i udowodnił mu to z Malachyasza. Lecz on wystosował do nich obudwu *list otwarty*, i nazwał ich oszczercami, kłamcami i intrygantami, i udowodnił im to z Nahuma i Sofonjasza. I zwrócili sie potem wszyscy trzej do opinii publicznej mówiąc: Sądź ty pomiędzy nami, kto z nas jest sprawiedliwy? A opinia publiczna rzekła im mówiąc: Zaiste wybór jest trudny pomiędzy powagą Micheasza i Malachyasza a Nahuma i Sofonjasza, i dla tego to muszę przyznać słuszność każdemu z was, albowiem napisano jest u Salomona młodszego: Wart Pac pałaca, a pałac Paca!

* * *

Od Salomona i proroków do lwowskich recenzentów wcale nie daleko, i z tego to powodu nie mogę przemilczeć recenzyi pewnego tutejszego pisma, której autor potępiając muzykę przyszłościową, powołuje się na Mozarta i utrzymuje iż tenże staroświecko zerwał z kierunkiem muzyki włoskiej reprezentowanej przez dzieła Verdiego (!) „z wyjątkiem Aidy" (!!). Jestto niezawodnie nowe odkrycie na polu dziejów muzyki, dotychczas bowiem sądzono powszechnie, że Mozart zmarłszy w r. 1791 nie mógł wcale znać muzyki Verdiego, której era rozpoczęła się dopiero w trzeciej ćwierci obecnego stulecia. Kto wie, niebawem może dowiemy

się, jakie było zdanie Achilesa o Uchacjuszach, i jak się zapatrywał Mahomet na elaborat konstytucyjny Midhata-paszy!

* * *

Obok tego odkrycia dziejowego krytyki, zaznaczyć mi jeszcze wypada nowe odkrycie na polu krajoznawstwa, które dyplomacyi europejskiej zawdzięczamy. Dotychczas rozumiano pod nazwiskiem Bulgaryi kawałek kraju, leżący pomiędzy Czarnem Morzem, Dunajem a Bałkanem, którego granicę na zachód tworzył Timok i Polianica. Mniemanie to było dotąd powszechnem, i godzili się na to najzupełniej wszyscy Turcy i chrześcianie, uważając powyższe określenie za rodzaj geograficznego dogmatu. Otóż pokazuje się, że mniemanie to było błędnem, według stambulskiego protokołu bowiem, rozumieć należy pod imieniem Bulgaryi *les divers districts, qui ont été le théâtre des événements douloureux dont l'opinion publique s'est legitimement émue*, t. j. cały kraj rozciągający się aż po Albanią i Epir, niemal całą Macedonią i większą część Tracyi, słowem cały szereg sandżakatów i hazów, w których ludność bulgarska, albo tylko bardzo słabo, albo też wcale nie jest reprezentowaną. Rzecz to wprawdzie nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa, a smutna jeżeli się pomyśli, że za nieuctwo tych panów żyjących, jak powiedział Bismark, truflami, depeszami i orderami, narody pokutować muszą.

* * *

Na zakończenie, i dla rozweselenia czytelnika dykteryjka o owym wieszczu, który w noc czarną i ciemną chciałby pędzić po stepie głuchym na karym rumaku, unosząc w ramionach swoich kochankę swą czarno zakrefioną. Poeta ten odwiedził pewnych państwa właśnie w chwili, gdy podawano kawę; zapytano go więc czy nie zechce się posilić filiżanką tego nektaru. „Proszę"—odrzekł wieszcz z ciężkiem westchnieniem. „A jakąż sobie pan służyć pozwoli" — spytała pani domu uprzejmie. „O ja, czarną, zawsze czarną!" — odpowiedział grobowym głosem poeta.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— Waliszewski K. Obrazki z życia wiejskiego. 8ka str. 92 Warszawa 1877. 1 złr.

— Zalewski Kazimierz. Złe ziarno. Komedya w 3 aktach. 8ka str. 80. Warszawa 1877. 1 złr.

— Wagner Rudolf. Podręcznik technologii chemicznej tłumaczył z ostatniego wydania Juljan Grabowski profesor Wszechnicy lwowskiej ze współudziałem Alfreda Fuchsa, z mnóstwem drzeworytów w tekście. 8ka str. 544. Warszawa 1877. 10·50.

Wstęp. Chemiczna metalurgia, spiże i przetwory metalowe, (żelazo. preparaty żelazne, kobalt, nikiel, miedź, aliaże miedzi, przetwory miedziane, ołów, przetwory ołowiane, cyna, przetwory cynowe, bizmut, cynk, przetwory cynkowe, kadm, antymon, przet. antymonowe, arsen, rtęć, przet. rt., platyna, srebro, złoto, braunstein i przet. manganowe, glin, magnes, galwanotechnika). Materyały surowe i przetwory chemiczne. (Sole potasowe, saletra, kwas azotny, wyrób mięszanin i ciał wybuchających, sól kuchenna, wyrób sody, otrzymanie jodu i bromu, siarka, wyrób kwasu siarczanego, siarek węgla, kwas solny i sól glauberska, chlorek wapna i chlorki alkaliczne, alkalimetrya, amonijak i sole amonijakalne, wyrób mydła, kwas borny i boraks, wyrób atunu, siarczane gliny i glinkonów, ultramaryna). Szkło, wyroby gliniane, gips, wapno i cement. Ciała roślinne i ich zastosowanie techniczne. Przygotowanie papieru.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— J. I. Kraszewski przygotowuje do druku nieznane dotąd listy Krasińskiego.

— Nakładem Aleksandra Vogla we Lwowie wyszedł Podręcznik dla Pszczelarzy Karola Grocholskiego, który nabywać można u nakładcy po cenie 1 złr. w. a.

— Nowa powieść historyczna J. I. Kraszewskiego, osnuta na tle czasów Bolesława Krzywoustego, ma nosić tytuł: „Królewscy synowie."

— W ostatnim zeszycie Ateneum mieści się ciekawy artykuł Włodzimierza Spasowicza: „Kwestye i stosunki agrarne."

— W Królewcu, w tamecznem archiwum miasta, znaleziono notaty zebrane w roku 1409, a odnoszące się do historyi Polski, Litwy i Rusi. Rzeczone notaty będą pomieszczone w tomie III. dzieła wydawanego przez krakowską Akademię nauk „Monumenta historica."

— Trzy dramaty Szekspira „Romeo i Julia," ,,Otello," i ,,Król Lear" zostały świeżo przetłomaczone na język nowożytny grecki. W ozdobnem wydaniu z 600 stronnic wyszły one nakładem Rikelusa w Atenach i firmy ,,Wiliams i Norgate" w Londynie.

— W wielkiej operze paryskiej, 27. zm. odbyła się niezwykła uroczystość. Oczekiwany z gorączkową niecierpliwością ,,le Roi de Lahore" został wystawiony. Był to tryumf dla autora, pana Masseneta, dla primadonny, naszej rodaczki panny Reszke, dla dyrektora p. Halanzier, dekoratora chórów, baletu, jednem słowem, tryumf dla wszystkich. Paryż zapomniał o giełdzie, Turcyi, żył tylko ,,Królem Lahory." Z recenzyj i opisów we francuskich dziennikach widzimy, że na takie zajęcie słusznie zasłużyła nowa opera. Muzyka ma być wspaniała, dekoracye imponująco czarujące (rzecz się dzieje w Indyach), kostiumy z tysiąca i jednej nocy. Nad skomponowaniem i odrysowaniem kostiumów pracował niepośledni artysta p. Lacoste, dziewięć miesięcy. Kostiumy te kosztują p. Halanzier 180.000 franków. W sali obecnymi byli: marszałek i marszałkowa Mac-Mahon, cesarstwo brazylijscy, książę Oranii, Montmorency, wszyscy Rotszyldowie, większa część ministrów, cały świat arystokracyi rodu, dyplomacyi i artyzmu. Był i Gambeta. Były dyktator, na zaproszenie panny Reszke, po raz pierwszy przekroczył próg wielkiej opery. Pannę Reszke publiczność uniesiona jej śpiewem literalnie obsypała kwiatami.

— Z Paryża donoszą, że dr. Kajetan Stański, za prace swoje nad chorobami epidemicznemi, otrzymał nagrodę w sumie tysiąca franków, przyznaną mu przez paryską Akademię nauk w dniu 23go kwietnia na dorocznem posiedzeniu publicznem. Autor między innemi, ogłosił badania w przedmiocie cholery, którą uważa za chorobę zaraźliwą jedynie w bliskiem zetknięciu się z osobami choremi.

— Dziennik „Temps" pisząc o wystąpieniu panny Reszke, we wspomnionej wyżej operze *Le Roi de Lahore*, tak się wyraża: „Panna Reszke czyni postępy; jest ona zachwycającą Sitą, której brak tylko cokolwiek więcej namiętności i lepszego akcentowania wyrazów."

Wypadki.

— Ze wszystkich stron dochodzą wieści o nadzwyczajnych wylewach rzek w Węgrzech i Siedmiogrodzie. Pod Temeswarem rzeka Bega wystąpiła z łożyska i zalała wszystkie okoliczne wioski i pola. Droga prowadząca do Bazias stoi pod wodą. tak, że podróżni muszą na łódkach się przeprawiać. W niektórych miejscach woda sięga aż do szczytów drzew. Z Szegedinu donoszą, że woda w Cissie i Moroszy do niezwykłej doszła wysokości, tak że dzień i noc pracują koło tam. Począwszy od Sobosnia do Mikalaki wszystkie niziny zostały zupełnie zalane. Arad także wystąpił z brzegów. Szkody w okolicach, które uległy powodzi są nieobliczone.

Komunikacye.

— Korespondent gazety ,,Pester-Lloyd" donosi, że w tych dniach otwartą została do użytku powszechnego pierwsza kolej w Chinach. Długość jej wynosi trzy niemieckie mile od Szapchaj do Worsung. Budową tej drogi zajmowali się angielscy przemysłowcy i to swoim kosztem; dopiero po ostatecznem jej ukończeniu sprzedali ją rządowi chińskiemu. Współcześnie z tym ważnym dla Chin faktem, jakim jest otwarcie pierwszej drogi żelaznej, powstało towarzystwo akcyjne statków parowych. Akcyonaryuszami tego towarzystwa są wyłącznie sami tylko Chińczycy.

Kongresy.

— Czwarty międzynarodowy kongres oryentalistów, ma się odbyć we Florencyi. Z tego powodu rząd włoski, pragnąc upamiętnić dla nauki zebranie się kongresu, wyznaczył nagrodę 5,000 lirów za najlepszą pracę o losach cywilizacyi aryjskiej w Indyach. Do konkursu przypuszczeni są uczeni wszelkich bez wyjątku narodowości. Termin oznaczony jest na 1 stycznia 1878 r. Rozprawa winna naprzód zająć się rozpatrzeniem początków aryjskiej cywilizacyi, do chwili gdy takowa przeniknęła poza Ganges, o ile takowe początki dostrzedz można w języku, w mytach, w religijnych pojęciach i obyczajach. Następnie autor winien starannie wyśledzić dalszy rozwój tejże cywilizacyi, w różnych miejscowościach Indyi. Rękopis z własciwą dewizą, powinien być zaadresowany do prezydenta kongresu prof. Amari. Komitet, który będzie rozpatrywać nadesłane prace, składać się ma z głośnych specyalistów w zakresie literatury aryjskiej. Rozprawa nagrodzona przez konkurs, zostaje wyłączną własnością autora. Rękopisy winny być przesyłane franco, do Rzymu.

Statystyka.

— Podług ostatniego wydania Almanachu Gotajskiego, jest na kuli ziemskiej 196 miast posiadających więcej niż sto tysięcy mieszkańców, a mianowicie: 48 w W. Brytanii z Irlandyą oraz w jej koloniach; 15 w Niemczech. 9 we Francyi, 7 w państwie Rossyjskiem, 15 w Stanach Zjednoczonych itd. Miasta posiadające największą liczbę mieszkańców są: Londyn. Paryż, Nowy York, Berlin, Wiedeń, Kanton. Siangtan, Siangfu i Czoczeufu. Ludność Pekinu wynosi tylko 500.000 mieszkańców.

— W początku XIX wieku liczono w Niemczech 250 księgarni, w r. 1820 już 500, w r. 1840 było ich 1.487, w r. 1857 2.275, w r. 1864 2.859 handlów ksiąg, muzykaliów, przedmiotów i płodów sztuki, nie licząc w to ani czytelni, ani drobniejszych tego rodzaju zakładów. Dzisiaj w cesarstwie niemieckiem liczy się 5.500 księgarni. W roku 1589 w całych Niemczech przecięciowo drukowano, po większej części broszur i drobniejszych pism, około 360 kilka rocznie. W r. 1750 już wychodziło więcej niż tysiąc, w r. 1840 około 7.900, a w r. 1875 rachunek wykazuje 12.576, w r. 1876 13.356. Nie należą do tego muzykalne nakłady, które same na tysiące się liczą.

— Liczba psów w Anglii od pewnego czasu zwiększa się z każdym rokiem. W roku 1866, wynosiła 445.656; w r. 1869 już 1,006.806, a w ostatnim roku 1,362.176, z których około 153.000 sztuk przypadało na Szkocyą. Wzrosła jednak w tym czasie także liczba wypadków wodowstrętu z 7 na 61, przy czem nadmienić należy, że w Szkocyi w ciągu lat dziesięciu zdarzył się jeden wszystkiego wypadek wodowstrętu, z czego wynikałoby, że kraj ten ze wszystkich w Europie najwięcej posiada warunków hodowli psów. W całem państwie brytyjskiem psy są opodatkowane.

— Według sprawozdania ogłoszonego przez urząd zdrowia w Berlinie, w bieżącym roku, do miesiąca kwietnia, na tysiąc mieszkańców umierało: w Berlinie 25.2, we Wrocławiu 26.3, w Królewcu 35.0, w Kolonii 30.2, w Hanowerze 23.8, w Magdeburgu 30.2, w Szczecinie 32.5, w Strasburgu 40.0, w Monachium 31.3, w Norymberdze 30.2, w Dreznie 28,3, w Lipsku 20.3, w Stutgardzie 21.3, w Karlsruhe 13.5, w Hamburgu 25.8, w Wiedniu 33.5, w Pradze 37.5, w Bazylei 37 1, w Brukseli 24.7, w Paryżu 28.8, w Amsterdamie 26.5, w Hadze 31.5, w Kopenhadze 24.2. w Stokholmie 32.1, w Chrystyanii 18.4, w Rzymie 36.6, w Turynie 27.6, w Warszawie 33.1, w Odessie 23.7, w Bukareszcie 23.6, w Londynie 22.6, w Liwerpoolu 22.2, w Dublinie 36.6. Tak więc Warszawa zajmuje siódme z kolei miejsce, najpierwsze zaś Strasburg. Najzdrowszą ze wszystkich stolic Europy jest Karlsruhe, a potem Chrystyania.

ROZMAITOŚCI.

— W zaprzeszłym tygodniu złowiono w Bosforze, naprzeciw Tophany, ogromnej wielkości rybę. Kiedy ją wydobyto na ląd, zebrało się wielkie zbiegowisko ludu, złożone z samych prawie Turków, tę bowiem część miasta, z małym wyjątkiem, Turcy tylko zamieszkują i podziwiano ten potwór tem więcej, że nikt nie umiał oznaczyć ani rodzaju, ani gatunku tej ryby. Zaczęto sobie zaraz przypominać stare podanie, że przed każdą wielką wojną pojawia się taka wielka ryba w Bosforze. Znaleźli się zaraz derwisze chodżowie i imamy, którzy licznemi cytatami i komentarzami Koranu utwierdzali lud w tem mniemaniu i kazali mu rybę tę uważać za niechybny prognostyk wielkiej wojny, jaką Islam będzie musiał stoczyć ze swoimi wrogami.

— Rozkład armii moskiewskiej, w czterech miastach rumuńskich nad Dunajem, Braile, Kilii, Galaczu i Izmailu, jest o tyle dla nich korzystny, że wprost tych miast Turcy nie posiadają żadnej większej fortecy. Braiła czyli Ibraiła leży wprost tureckiego miasteczka Maczyn, licho uzbrojonego, i jest ważnym punktem strategicznym. Dowodzi tego historya wojen Rumunii. Turcy byli panami Braiły od 1544 do 1828. W r. 1828 w lipcu odebrali im ją Rosyanie. Odtąd nie jest to forteca, tylko poprostu miasto handlowe, odbudowane całkiem na sposób europejski. Rumuńska flotylla Dunaju tj. cała marynarka Mołdo-Wołoszczyzny tu miała swoję stacyą główną. Ztąd krążyły stale parostatki do Warny, Stambułu, Odessy, Pesztu i Wiednia. Dziś przystań jest pusta. Na dnie leżą może torpedy. Zdaleka krążą około miasta pancerniki tureckie a na debarkaderze stoją baterye artyleryi moskiewskiej. Te to baterye właśnie zamieniły d. 3 maja silny ogień z pancernikami w liczbie trzech, które zbliżyły się i bombardowały miasto. Mieszkańcy, strona niewinna, ucierpieli zapewnie najwięcej. Zwykle tak bywa. Izmaił i Kilia leżą dalej ku wschodowi, bliżej ujścia Dunaju, już naprzeciw neutralnego ich terytoryum. Izmaił, inaczej Smeil, Smil, ma 21.000 mieszkańców i składa się z dwóch dzielnic: starej, zdobytej, 1790 r. przez Suwarowa, dziś nieufortyfikowanej, i nowej, którą Moskale nazwali Tuczkow na cześć gubernatora — założyciela. Jak Maczyn wprost Braiły, tak wprost Izmaiłu leży ludne miasto tureckie Tulcza. O dziewięć godzin drogi za Izmaiłem zajęli jeszcze Moskale miasto Kilię, bardzo starożytne, którego fortyfikacye, tak jak Izmaiłu zburzyli, cofając się w r. 1856. Rumunowie atoli część tych fortyfikacyj odbudowali. Kilia jest otoczona wodą ze wszystkich stron. Oto główne punkty widowni na której rozegra się prawdopodobnie kwestya przejścia Dunaju. Turcy, których główne fortece: Widdyń, Sylistrya, Ruszczuk, leżą dalej ku zachodowi, w górę Dunaju, muszą tutaj opierać się tylko na swej flotyli. Statki parowe z Warny i kolej z Kiustendże do Czarnawody, może dostarczać wojska. Z drugiej strony koleje rumuńskie oddają tę samą usługę armii rosyjskiej. Niskie położenie tych okolic nie jest wcale korzystnem dla przechodu armii. W ogóle Dunaj na całym swym przebiegu w granicach Turcyi nie ma nigdzie ani jednego mostu stałego. Podobno trudności budowy są olbrzymie, nietylko z powodu wielkiej szerokości rzeki, ale jeszcze z powodu dna błotnistego i piaszczystego a więc ruchliwego. Ztąd pozostaje tylko urządzenie mostów na podstawach pływających. Dotąd wojska moskiewskie przechodziły Dunaj głównie w trzech punktach. Między Ruszczukiem a Sylistryą od Oltenicy do Turtukaju w latach 1810 i 1829, oraz między Braiłą a Hirsową (1854) i między Reni a Izmaiłem (1828 i 1854). Naprzeciw tych dwóch ostatnich przejść leży skierowany ku północy półwysep Dobrudża, który i teraz zdaje się być głównym celem operacyj wojennych. Przedstawia on mało środków komunikacyjnych, ma charakter stepu i za najmniejszym deszczem zmienia się w nieprzebyte błoto. Od południa do północy liczy z 18 mil długości. Po za Dobrudżą prócz linii kolei Czernawoda - Kiustendże, której punkt środkowy Medżidże jest ufortyfikowany, leżą tak zwane „wały Trajana,“ które Turcy wzmocnili podobno licznemi bateryami. Wzdłuż Dobrudży, od północy do południa, ciągnie się tylko jeden trakt większych rozmiarów z Tulczy do Medżidże. Tym traktem postępować będzie zapewnie armia moskiewska, gdy przejdzie na prawy brzeg Dunaju, gdzie najpierw czekają na nią owe wały Trajana a dalej góry bałkańskie. Lecz nie tylko ta droga prowadzi do serca Turcyi, do jej stolicy. Dróg właściwie jest pięć, rozumie się lądowych. Ta, o której mówimy, jest najbardziej wschodnią, i tej też mniej więcej trzymał się Dybicz w r. 1829. Inne linie, po których mogłyby kroczyć nieprzyjacielskie wojska w głębi Turcyi są: Ruszczuk Osmanbazar-Sliwno Jamboli; Sistowo lub Nikopolis-Tirnowo-Eski Zagra i Widdyń-Pirot-Sofia. Wszystkie te linie łączą się w dolinie Marycy, w Adryanopolu, zkąd już tylko trzydzieście mil od Bosforu... Komunikacya przez morze Czarne (np. linię Ruszczuk - Warna) jest dla armii moskiewskiej niemożliwą z powodu braku odpowiedniej w tych stronach floty.

— Podajemy poniżej niektóre szczegóły o nowomianowanym ambasadorze angielskim w Konstantynopolu, gdyż o ile zdaje się, dyplomacie temu przypadnie teraz wydatna rola w zawikłaniach dramatu kwestyi wschodniej. Pan Layard urodził się w Paryżu d. 5 marca 1817 r. i pochodzi z dawnej rodziny francuskiej wyznania protestanckiego, która w epoce zniesienia edyktu Nantejskiego przesiedliła się do Anglii. Rodzice jego tylko czasowo przebywali we Francyi. Layard odbył dwukrotnie podróż po Europie i Małej Azyi. Wspólnie z konsulem francuskim odkrył on miejsce, gdzie niegdyś istniała starożytna Niniwa. Płaskorzeźby i posągi zdobiące obecnie Muzeum Brytańskie są właśnie owocem tego odkrycia. Za powrotem do Anglii, Layard w nagrodę otrzymał urząd sekretarza przy poselstwie w Konstantynopolu. W roku 1852 lord Palmerston, ofiarował mu godność podsekretarza stanu w wydziale spraw zagranicznych; w tymże roku Layard wstąpił do Izby niższej parlamentu jako deputowany. Następnie brał udział w wojnie krymskiej, w charakterze dyplomaty, a po zawarciu pokoju został prezesem tureckiego „Banku Cesarskiego“. W roku 1866 królowa angielska powołała go na członka Rady prywatnej; we trzy lata później, to jest w 1869 r., zajął posadę posła w Madrycie, obecnie zaś powierzono mu jedno z najważniejszych stanowisk dyplomatycznych, wymagające ogromnych zdolności i doświadczenia w tak krytycznych dla całej Europy czasach.

— W Paryżu d. 28 kwietnia miał miejsce skandalik, którego ofiarą stał się członek Akademii p. Saint-René Taillandier, profesor wymowy w Sorbonie. Widocznie wykłady jego o mówcach i publicystach rewolucyi francuskiej, dla ktorych nie taił wcale swojej niechęci dochodzącej do wstrętu, nacechowane dążnością wysoce klerykalną nie podobały się wielu słuchaczom, gdyż nieraz już odzywano się o jego prelekcyach z oburzeniem. Przyczyniła się również do tego niezadowolenia ostra krytyka nowej „Legendy Wieków“ Wiktora Hugo, ogłoszona przez Saint-Taillandiera w „Revue des deux mondes.“ Młodzież akademicka miała przytem w pamięci list profesora do Napoleona III z powodu dzieła „Życie Cezara,“ znaleziony w archiwum tuilleryjskiem, a pełen pochlebstw dla byłego cesarza. Słowem, gniew wrzał już od pewnego czasu, aż wreszcie musiał wybuchnąć. Zaledwie profesor przemówił słów kilka, rozpoczynając wykład, podniosło się nagle kilkuset słuchaczy, wołając wśród największej wrzawy: „milczeć!“ „Niech żyje Robespierre!“ „wiwat rok 93!“ „niech żyje Wiktor Hugo!“ Żeby zaś ostatecznie nie dopuścić profesora do głosu, zaśpiewano chórem „Marsyliankę.“ Saint-Taillandier przekonawszy się, że hałasujący postanowili zmusić go koniecznie w tym dniu do milczenia, zabrał książki, i po niejakim czasie opuścił salę.

— Gazeta Kaukazka donosi, że niedaleko od nadgranicznego obozu wojsk tureckich, w pobliżu fortecy Cichic-Dżiri, nieco na wschód, znajdują się ruiny odwiecznego kościoła chrześciańskiego, który został objęty fortyfikacyami, jakiemi otoczony jest obóz. Przy tych ruinach postawiono straż, ale zaraz pierwszej nocy żołnierz spostrzegł widmo wychodzące z pośród ruin, które w języku gruzińskim tak przemówiło do struchlałego ze strachu i przerażenia żołnierza: „Idźcie ztąd precz, to nie wasza ziemia, my sami pilnować jej będziemy jak jej pilnujemy już od wieków.“ Halucynacya ta powtarzała się co noc i taką bojaźń spowodowała pomiędzy żołnierzami, że żaden z nich nie chciał iść na straż pod ruiny. Mimo usiłowań ze strony zwierzchności wojskowej, musiano cofnąć ztamtąd pikiety. Wieść o tym wypadku rozeszła się po okolicy, znajdując wszędzie wiarę.

— Projekt utworzenia morza wewnętrznego w Algierze zdaje się, że obecnie przyjdzie do skutku. Cała przestrzeń leżąca o pięćdziesiąt kilometrów na południe od miasta Biskra i dotykająca granic Sahary, ma być zalana wodą. Dwie wyprawy naukowe, jedna francuska pod wodzą kapitana Roudaire, która robiła studya w r. 1874 i druga angielska także pod przewodnictwem kapitana Rudaire w r. 1875, okazały możliwość utworzenia wewnątrz Algieru morza. Trudno w tej chwili ocenić następstwa, jakie wywoła takie morze Śródziemne, opierając się atoli na wzmiankach klimatycznych, spowodowanych w Egipcie przez przekopanie międzymorza Suez, można mniej więcej robić przypuszczenia podobne. Pan Lesseps w raporcie swym z d. 22 czerwca 1874 do akademii nauk pisał między innemi: „W stronach tych od dwudziestu lat nie widziano deszczu. Teraz atoli mamy go aż nazbyt wiele.“ W Izmaile, mieście położonem na północ jeziora Timsah, o sześćdziesiąt pięć kilometrów od morza Sródziemnego okolica radykalnym uległa zmianom. Tam gdzie wprzód była naga, senna pustynia, obecnie rozkłada się szmaragdowa, bujna zieloność i życie. Jeżeli w Egipcie przekopanie międzymorza suezkiego wywołało takie zmiany, dla czegóżby coś podobnego nie miało stać się w Algierze. Kolonizacya zyska tu 60.000 hektarów ziemi, podobnąż przestrzeń kultura obejmie w Tunisie. Tam gdzie dziś susza sprawia, że ziemia jest zupełnie bezpłodną, zakwitnie zapewne bujna roślinność. Sirocco, powodujący tyle klęsk, przemieni się w zbawczy wiatr, niosący wilgoć od morza wewnętrznego. Klimat nadawać się będzie w sam raz do uprawy bawełny, która jak wiadomo lubi kraje gorące i wilgotne. Koszta przekopania międzymorza Gabes wyniosą 45 do 50 mil fr. czas zaś na wykonanie tych robót oznaczają inżynierowie na dziewięć do dziesięciu lat. Odpowiedni projekt ma być przedstawiony w tym roku izbom francuskim i zapewne uzyska aprobatę.

— Londyńska gazeta „Pall-Mall“ z okoliczności rocznicy urodzin cesarza niemieckiego przypomina, że na początku bieżącego stulecia, w szrankach politycznych występywali głównie na widownię ludzie młodzi lub w wieku dojrzałym. Napoleon miał lat 30, Wellington 40, Pitt przeszło 30, lord Granville, w czasie, gdy powołany został na urząd ministra, liczył niespełna lat 30. Obecnie zaś książe Bismarck ma lat 62, lord Gladstone 68, Mac-Mahon 69, Garibaldi 70, lord Beaconsfield 72, książę Gorczaków 79, cesarz Wilhelm 80, Thiers 80, Papież Pius IX 85, lord Stratford de Redcliffe 89. Dalej, biskup Dupanloup liczy lat 75, prymas Anglii 66, dziekan westminsterski 61. Wiktor Hugo ma lat 70, Carlyle 81, Tompson 67, Longfellow 71, Emmerson 75 lat.

— Na wieczorku dyplomatycznym pewnej znakomitości w Berlinie krążyło z rąk do rąk pismo które niemałą wywołało w gronie biesiadników wesołość. Oto jeden z dyplomatów obliczył tabelarycznie, że od początku powstania w Hercogowinie wysłano z różnych kancelaryj dyplomatycznych około dwanaście tysięcy mniejszych lub większych dyplomatycznych dokumentów. Według szczegółowego obliczenia tego wykazu sfabrykowała rosyjska dyplomacya 2,200 turecka 2,000 angielska, 2,000, austryacka 1,700, francuska 1,600, włoska 1,200, niemiecka 1000 — razem więc 11.900 dokumentów. Najświeższa „księga błękitna“ angielska sama zamieszcza 1090 podobnych aktów, które w pierwszym jej tomie na 757, w drugim na 380 stronnicach są wydrukowane. Tyle więc przelano inkaustu „pro nihilo.“

Treść Nr. 36.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.